

NR 3 (14)
marzec
2002

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

ISSN 1641-9561



Transport przesiedleńców z obozu Niedersachsendorf, lipiec 1946 r.

ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE

BIAŁYSTOK	15-637 Białystok, ul. Warsztatowa 1a Tel. (0-85) 664 73 71
GDAŃSK	81-311 Gdynia, ul. Witomińska 19 Tel. (0-58) 620 52 00
KATOWICE	40-009 Katowice, ul. Warszawska 19 Tel. (0-32) 253 73 31
KRAKÓW	31-027 Kraków, ul. Mikołajska 4 Tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	20-071 Lublin, ul. Wieniawska 15 Tel. (0-81) 532 16 43
ŁÓDŹ	91-479 Łódź, ul. Orzeszkowej 31/35 Tel. (0-42) 616 27 48
POZNAŃ	61-739 Poznań, ul. Plac Wolności 17 Tel. (0-61) 851 52 15
RZESZÓW	35-060 Rzeszów, ul. Słowackiego 18 Tel. (0-17) 852 05 35
WARSZAWA	00-207 Warszawa, Pl. Krasieńskich 2/4/6 Tel. (0-22) 530 86 25
WROCLAW	50-153 Wrocław, Pl. Powstańców Warszawy 1 Tel. (0-71) 340 65 32



BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN
Zespół redakcyjny: Barbara Polak, Elżbieta Lewczuk,
Dorota Mazek, Władysław Buthak, Paweł Machcewicz
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński
Adres: 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28
Tel. (0-22) 581 89 25, fax (0-22) 581 89 26
e-mil: bep@ipn.gov.pl
www.ipn.gov.pl
Łamanie i druk: Zakład Wydawniczo-Poligraficzny MPiPS

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 3 (14)

MARZEC

2002

SPIS TREŚCI

■ KALENDARIUM IPN

■ ROZMOWA BIULETYNU

- O EMIGRACJI I POLONII. Ze Sławomirem Cenckiewiczem i Januszem Wróblem rozmawia Barbara Polak 4
- ŻYLIŚMY NADZIEJĄ. Z byłym Prezydentem Rzeczypospolitej Ryszardem Kaczorowskim rozmawia Tomasz Danilecki 26

■ PRAWO I HISTORIA

- Tomasz Danilecki – DEPORTACJE LUDNOŚCI CYWILNEJ Z BIAŁOSTOCCZYNY 33

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

- Jarosław Neja – POLACY W MANDŻURII 34
- Tadeusz Kopyś – UCHODŹCY POLSCY NA WĘGRZECH W LATACH 1939–1944 42
- Łukasz Kamiński – POLACY W BERLINIE 48
- Jan Żaryn – KOŚCIÓŁ KATOLICKI WOBEC POWOJENNEJ EMIGRACJI (1945–1989) 51
- Maciej Pawlak – WSPÓŁPRACA WYWIADOWCZA EMIGRACJI POLSKIEJ W LONDYNIE Z PAŃSTWAMI ZACHODNIMI W LATACH 1945–1954 56
- Jerzy Eisler – FALE EMIGRACJI ŻYDOWSKIEJ Z POWOJENNEJ POLSKI 59
- Dariusz Stola – MILION STRACONYCH POLAKÓW 62
- Artur Ossowski – OBÓZ POLSKI W NIEDERLAHSTEIN W LATACH 1945–1946 66
- Kornelia Banaś, Adam Dziurok – ŚLĄZAK DO WYSIEDLENIA 70

■ RELACJE I WSPOMNIENIA

- „CZY TO JUŻ POLSKA?” 72
- Tomasz Rochatka – POLSKI „KUŁAK” W KAZACHSTANIE 78

■ WYSTAWY

- Wojciech Trębacz – STRACENI NA DOLNYM ŚLĄSKU W LATACH 1945–1956 81

■ KSIĄŻKI IPN

- 84

Kalendarium IPN

luty 2002

- 7 lutego**
- prezes IPN prof. **Leon Kieres** uczestniczył w posiedzeniu Senatu RP, w części dotyczącej zmiany ustawy o ujawnieniu pracy lub służby w organach bezpieczeństwa państwa
 - prof. **Leon Kieres** oraz prof. **Witold Kulesza** wzięli udział w spotkaniu z II Sekretarzem Ambasady Austrii **Gerhardem Eislem**. Celem spotkania było przekazanie przez **G. Eisla** Głównej Komisji informacji austriackiego Ministerstwa Sprawiedliwości, dotyczącej śledztw przeciw Johannowi Berhoferowi i Georgowi Sreicherowi. Dokumenty dotyczące ich zbrodniczej działalności przesłano wcześniej austriackiemu wymiarowi sprawiedliwości, który poinformował Główną Komisję o umorzeniu śledztwa, jednak bez podania podstaw. **G. Eisl** dostarczył szczegółowe pisemne sprawozdanie sporządzone przez Ministerstwo Sprawiedliwości Austrii, opisujące przyczyny, na podstawie których postępowania zostały umorzone. Omówiono także dalszą współpracę Ambasady Austrii z IPN w zakresie ścigania zbrodni nazistowskich
- 8 lutego**
- gościem Instytutu Pamięci Narodowej był szef pionu badawczo-edukacyjnego Centrum Badania Ruchu Oporu i Ludobójstwa na Litwie dr **Arydas Anusauskas**. Podczas spotkania z prezesem IPN prof. **Leonem Kierese**m i dyrektorem BEP IPN dr. hab. **Pawłem Machcewiczem** rozmawiano o perspektywach współpracy naukowej i edukacyjnej IPN z instytucją litewską
- 13 lutego**
- w Instytucie Pamięci Narodowej zainaugurowano działalność klubu Historycznego imienia generała **Stefana Roweckiego „Grotę”**. Klub powstał z inicjatywy Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Głównym celem Klubu będzie poszerzanie wiedzy historycznej dzięki najnowszym badaniom i pracom naukowym o Polskim Państwie Podziemnym. Spotkania Klubu będą się odbywały w każdą drugą środę miesiąca w sali konferencyjnej Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie przy ulicy Towarowej 28
- 20 lutego**
- Kolegium IPN przyjęło informację o pracach zespołu do spraw przygotowania porozumienia o współpracy między IPN a Naczelną Dyрекcją Archiwów Państwowych, zapoznano się także z postępami prac nad regulaminami określającymi zasady udostępniania akt znajdujących się w zasobie archiwalnym IPN do celów służbowych oraz do badań naukowych. Członkowie Kolegium pozytywnie zaopiniowali projekt ustanowienia nagrody im. **Grzegorza Jakubowskiego** (zmarłego w czerwcu ubiegłego roku pierwszego szefa Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN). Nagroda może być przyznana instytucjom, organizacjom społecznym i osobom fizycznym za szczególnie aktywny udział w dziele upamiętniania historii Narodu Polskiego w latach 1939–1989 i działalność publiczną zbieżną z ustawowymi celami Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

22 lutego

- w siedzibie krakowskiego Oddziału IPN prezes IPN prof. **Leon Kieres** wziął udział w uroczystości wręczenia pani **Emilii Szlachcie** przez wojewodę małopolskiego Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski za działalność konspiracyjną w czasie drugiej wojny światowej i w pierwszych latach po wojnie. Odznaczenie zostało przyznane przez Prezydenta RP **Aleksandra Kwaśniewskiego** na wniosek Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” przy poparciu Oddziału IPN z Krakowa. W trakcie uroczystości prof. **Leon Kieres** powiedział, że **Emilia Szlachta** uosabia to, co najszlachetniejsze w duszach ludzi walczących o wolność. Tego samego dnia w Sali Obrad Miasta Krakowa prezes IPN prof. **Leon Kieres** wziął także udział w uroczystości nadania imienia gen. **Emila Fieldorfa „Nila”** Muzeum Armii Krajowej w Krakowie. W uroczystości oprócz prezesa IPN głos zabrali między innymi **Ryszard Kaczorowski** – ostatni Prezydent RP na Uchodźstwie, prof. **Lech Kaczyński** – były minister sprawiedliwości, prof. **Adam Strzembosz** – były I prezes Sądu Najwyższego, **Andrzej Przewoźnik** – sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

28 lutego

- prezes IPN prof. **Leon Kieres** złożył w Sejmie RP *Informację o działalności Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w okresie 1 lipca 2000 r. – 30 czerwca 2001 r.* Wcześniej informacja była rozpatrywana i przyjęta przez Sejmową Komisję Sprawiedliwości i Praw Człowieka
 Dokument w całości dostępny jest na stronie internetowej Instytutu Pamięci Narodowej: www.ipn.gov.pl

opracowali: Anna Bilińska-Gut, Artur Gut, Tomasz Poręba

STATYSTYKA WYDAWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE
 O STATUS POKRZYWDZONEGO

	luty 2002 r. A/B	od początku wydawania A/B
BIĄŁYSTOK	12/11	103/585
GDAŃSK	51/42	3116(854)*/1683(470)*
KATOWICE	18/39	2036/955
KRAKÓW	30/24	1984/1087
LUBLIN	23/11	1141/523
ŁÓDŹ	24/18	1113/606
POZNAŃ	37/20	2161/1132
RZESZÓW	26/16	1260/698
WARSZAWA	25(0)*/20(0)*	2199/1227
WROCŁAW	32/20	1287/718
BUiAD	44/27	2752/1076 + 171**
RAZEM	322/242	20152/10461

* wnioski wydawane i przyjmowane w terenie i w delegaturach
 ** wnioski przesłane z konsulatów

A – wydane formularze wniosków
 B – wnioski przyjęte

Sprostowanie. W poprzednim numerze „Biuletynu”, w podsumowaniu wydanych i przyjętych wniosków znalazły się błędy. Odpowiednie liczby w rubryce „razem” są: 460/324. Za błąd przepraszamy – redakcja.

O EMIGRACJI I POLONII

**ZE SŁAWOMIREM CENCKIEWICZEM
I JANUSZEM WRÓBLEM ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Proszę panów o krótką charakterystykę środowisk Polaków mieszkających w 1939 r. poza Polską.

S.C. – Przed wrześniem 1939 r. Polacy zamieszkiwali na wszystkich kontynentach. Ówczesnych „zagranicznych” Polaków można podzielić na dwie grupy: na tych tworzących skupiska autochtoniczne (w Niemczech, Związku Sowieckim, Rumunii czy na Litwie) oraz na tak zwane wychodźstwo europejskie (Francja, Belgia czy Szwajcaria) i zamorskie (USA, Brazylia, Południowa Afryka czy Australia). Rozsiani po świecie Polacy byli zróżnicowani pod względem społecznym, materialnym i politycznym. Na przykład Polonię amerykańską tworzyła przede wszystkim tak zwana emigracja zarobkowa, a więc głównie robotnicy. Nieprzypadkowo życie polonijne w Stanach koncentrowało się wokół wielkich centrów przemysłowych – w Filadelfii, Detroit, Nowym Jorku czy Chicago. W sensie kulturowym i politycznym amerykańscy Polacy byli tradycjonalistami – byli katolikami, integrowali się wokół polskich parafii i organizacji o charakterze narodowym. W okresie międzywojennym silne tu były tradycje „hallerowskie”, związane z czynem zbrojnym Polonii amerykańskiej w czasie pierwszej wojny światowej. Nieprzypadkowo więc wielu liderów polonijnych określało swoje poglądy mianem „endeckich”.

B.P. – Jak wyglądała działalność organizacji polonijnych w Stanach Zjednoczonych?

S.C. – Pamiętamy, że słabością Polonusów w Stanach był brak inteligencji, a więc także swego rodzaju kadry przywódczej. Dochodziły do tego silne procesy asymilacyjne, którym sprzyjały władze amerykańskie, a nawet hierarchia Kościoła katolickiego. To wszystko dezintegrowało Polonię, choć trzeba przyznać, że dzięki pracy polskich księży, działalności organizacji weteranów i czołowych organizacji polonijnych – Związku Narodowego Polskiego i Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego – kryzys ten udało się do pewnego stopnia przezwyciężyć. Dodać także należy, że po 1926 r. władze w Warszawie z powodzeniem ingerowały w życie wewnętrzne środowisk polonijnych, w tym także organizacji Polaków w Stanach Zjednoczonych. Chęć podporządkowania sobie diaspory przez „kraje macierzyste” była zresztą nie tylko specyfiką polską.

B.P. – Jak środowiska polonijne zareagowały na wiadomość o hitlerowskiej napaści na Polskę?

S.C. – Praktycznie ograniczyły się do protestów, tworzenia Komitetów Ratunkowych, organizacji zbiórek i składek. Myślano wprawdzie o organizacji armii na wzór tej z okresu pierwszej wojny światowej, ale chociażby z powodu nieprzystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny jesienią 1939 r. było to niemożliwe. Koncepcja budowy armii polskiej w Ameryce odżyła po ataku japońskim na Pearl Harbor. Istnieją nawet relacje świadczące o tym, że na przełomie 1941/1942 r. z inicjatywą taką wychodzili amerykańscy wojskowi. Jeśli byłaby to prawda, to pozostaje pytanie, dlaczego zakończyło się to kompletnym fiaskiem.

J.W. – Faktem jest, że w 1939 r. Polonia amerykańska nie przyszła Polsce z tak wszechstronną pomocą jak w okresie pierwszej wojny światowej, kiedy to w szeregi utworzonej we Francji armii gen. Józefa Hallera wstąpiło 20 tys. ochotników z USA. Ci świetnie wyszkoleni i uzbrojeni żołnierze później znaleźli się w Polsce i dzielnie walczyli z bolszewikami i Ukraińcami. Był to autentyczny zbrojny wkład Polonii amerykańskiej w walkę o niepodległość kraju. Trzeba zapytać, dlaczego nie powtórzyło się to w latach drugiej wojny światowej. Częściowo było to skutkiem zadrażnień na linii kraj–Polonia amerykańska. „Światopol” (Światowy Związek Polaków z Zagranicy), kontrolowany przez władze polskie, starał się sterować poczynaniami całej Polonii na świecie, a Polonia amerykańska nie chciała uznać jego zwierzchności.

Ważna była też kwestia potraktowania przez II Rzeczpospolitą weteranów, którzy wrócili do Stanów Zjednoczonych. Nie załatwiono odpowiednio sprawy odpraw, emerytur, odznaczeń i to wywołało rozczarowanie. Doszły do tego niepowodzenia ekonomiczne polonijnych inwestorów w Polsce. W efekcie, gdy wybuchła druga wojna światowa, Polacy w Ameryce udzielili pomocy „staremu krajowi”, ale miała ona przede wszystkim charakter polityczny i finansowy, nie powiodły się natomiast próby rekrutacji do Polskich Sił Zbrojnych. Pamiętajmy, że do grudnia 1941 r. Stany Zjednoczone były formalnie krajem neutralnym, a rząd amerykański nie zezwalał na udział swoich obywateli w walce z Niemcami pod obcymi sztandarami.

B.P. – Dlaczego władze przywiązywały taką wagę do działalności „Światopolu”?

S.C. – „Światopol” powstał w 1929 r., jednak idea powołania jednej organizacji polonijnej dojrzała od początku lat dwudziestych. Chodziło o zintegrowanie środowisk polonijnych wokół tych samych celów, rzecz jasna z zachowaniem specyfiki każdej z grup. W okresie tworzenia „Światopolu” najważniejszą kwestią było powstrzymanie tak zwanej ofensywy mniejszościowej Niemiec. Niemcy doprowadziły do perfekcji relacje między macierzą a diasporą, dając w ten sposób przykład pozostałym państwom. Emigranci niemieccy stali się dla Berlina wygodnym instrumentem w realizacji *Weltpolitik*. Mimo wszystkich różnic z doświadczeń niemieckich korzystano w Europie, czyniły to także władze II Rzeczpospolitej,



a po wojnie do pewnego stopnia także PRL. W polityce zagranicznej jest przynajmniej kilka elementów stałych – interesy polityczne, wywiadowcze, gospodarcze. Skupiska polonijne okazywały się więc niezmiernie pomocne zarówno dla rządów przedwojennych, jak i powojennych.

B.P. – Czy Polacy na Wschodzie też mieli jakąś rolę do spełnienia?

J.W. – Tam sytuacja była diametralnie inna. Polonia we Francji czy Stanach Zjednoczonych miała możliwości wyrażania swoich interesów, zakładania stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, instytucji gospodarczych, nawet partii politycznych. Sytuacja na Wschodzie wyglądała inaczej i dlatego rząd polski miał niewielki wpływ na położenie zamieszkałych tam rodaków. Normalne życie polityczne i kulturalne Polaków w Związku Sowieckim było niemożliwe, chociaż formalnie gwarantował im to traktat ryski z 1921 r. Mogli funkcjonować tylko w ramach istniejących struktur, czyli w zasadzie w partii komunistycznej i jej przybudówkach. Z jednej strony Kreml sam inicjował pewne eksperymenty w polityce narodowościowej, czego przykładem były autonomiczne „polskie” rejony narodowościowe na Ukrainie i Białorusi (tak zwana Marchlewszczyzna w okręgu wołyńskim powstała w 1925 r. i Dzierżyńszczyzna na Białorusi utworzona w 1932 r.), a z drugiej prześladował polskich katolików, czego przykładem było aresztowanie i proces arcybiskupa Jana Cieplaka. Mniej więcej od 1934 r. polityka sowiecka wobec Polaków ma już wyłącznie represyjny charakter. Zaczęto likwidować autonomiczne rejony, w 1936 r. rozpoczęto wywózki ludności polskiej na wschód na wielką skalę, głównie do Kazachstanu, co wiązało się z przymusową kolektywizacją.

B.P. – Jak wyglądała sytuacja Polaków na Litwie i w innych krajach bałtyckich?

J.W. – Inaczej wyglądała sytuacja Polaków w państwach bałtyckich, zwłaszcza na Łotwie, gdzie mniejszość polska liczyła około 60 tys. osób i stanowiła zwarte skupisko w dawnych Inflantach Polskich (Łatgalii). Na Litwie Polaków było około 200 tys., niewielka mniejszość polska mieszkała również w Estonii. Ponieważ stosunki polsko-łotewskie przez cały okres międzywojenny były dobre, więc i sytuacja mniejszości polskiej na Łotwie była stosunkowo dobra, ciągle trwała też emigracja polska, głównie sezonowa. Dochodziło jednak do tarć w związku z reformą rolną, wprowadzoną w krajach bałtyckich na początku lat dwudziestych, która uderzyła w wielką własność ziemską, także polską. Republiki te były w przeważającej większości chłopskie, zatem reforma rozwiązywała nie tylko problem agrarny, ale i polityczny, stając się środkiem umacniania tożsamości narodowej tych krajów.

S.C. – Poza Związkiem Sowieckim bodaj najtragiczniejsza była sytuacja Polaków na Litwie. Brak stosunków dyplomatycznych między Polską

Wykaz sierot w Suggolkinu les-punkcie
Kotłowodckiej obci. 30133

D.
Babil'skij rejonu
Magim'skogo sel-sobiesz
Kotłowodckoj obci.

Kocemba <u>Stanisław</u> lat 16 syn Stanisława		Ojciec zabity w Breslau, matka, brat, siostra umarli w 1940 r.
1.	<u>Hrzyszcz Amela</u> 18 lat <u>Piotr Hrzyszcz</u> 19	Ojciec - Stanisław Hrzyszcz i matka Anna Hrzyszcz umarli w 1941 r.
✓	<u>Antonii</u> - " - 9 - "	Brat starszy - Młodystaw - prokarniel i miobiszy - Stefan Hrzyszczowiec
✓	<u>Promualot</u> - " - 6 - "	wyseli jako ochotnicy do Hojsk polskiego.
Ojciec - Stanisława		
2.	<u>Dyomunt Baran</u> lat 7	rodzina skiaologiczna syn z szej
✓	seul sob - w 1940 - 41 r.	odumarli w szczy.
3.	<u>Stanisława Kucharska</u> lat 16 <u>Polizława</u> - " - " - 9	Ojciec i matka odumarli. Młodystawa siostra Hrysty na Kucharska 1939 r. powia jako ochotnica do hojsk polskiego.
✓		
4.	<u>Motowideiko Staniam</u> - 20 " - " - Bolesław - 16 " - " - Helena - 14 " - " - Młodystaw - 7	Ojciec - Ludwik Motowideiko przy wyhożeniu w 1939 r. - rodzinie był w domu; matka w 1940 r. odumarla i sk. Starszy brat Tomasz Motowideiko lat 18 powiedi jako ochotnik.
5.	<u>Hrzekowska Maria</u> lat 18 " - " - Antoni - " - 11 " - " - Stanisław - " - 8	Ojciec powstol pod okupacją niemiecką, matka Hozekowska Hrzekowska odumarla w 1940 r.
Ojciec Kazimierz		
6.	<u>Kowalczyk Janina</u> lat 19 " - " - Jan - " - 15	Ojciec Aleksander i matka Jozefa Kowalczykowie umarli w 1940 r.

Wykaz sierot (Hoover Institution, Ambasada RP w ZSRR, box 25)

a Litwą przez prawie cały okres międzywojenny sprzyjał represyjnej polityce władz kowieńskich wobec Polaków. Problem dotyczył zagwarantowania praw zupełnie podstawowych – polskiego szkolnictwa, dostępu do polskiej książki, swobód językowych, kulturalnych i religijnych.

B.P. – Powróćmy do września 1939 r. Klęska wrześniowa doprowadziła do niespotykanych dotychczas migracji Polaków.

J.W. – Wraz z wybuchem drugiej wojny światowej rozpoczęły się przemieszczenia ludności na gigantyczną skalę. Nie było to sprawą przypadku czy okoliczności, które stwarza każda wojna. Oba totalitarne mocarstwa, które zaatakowały Rzeczpospolitą – Trzecia Rzesza i Związek Sowiecki – od dawna przygotowywały się do masowych przesiedleń. W Niemczech prowadzono na dużą skalę badania demograficzne, z których wyciągano wnioski, że wyludniającym się prowincjom wschodnim Rzeszy grozi zalew ze strony silnego biologicznie narodu polskiego. Tym naturalnym tendencjom zamierzano zapobiec, dokonując masowych akcji wysiedleńczo-kolonizacyjnych oraz eksterminacji ludności żydowskiej i polskiej. Z kolei w Związku Sowieckim od dawna ludzi traktowano jako jeden z elementów systemu państwowego, którym można dowolnie manipulować. Przymusowe przesiedlenia zarówno z przyczyn politycznych, jak i ekonomicznych były praktykowane od pierwszych dni władzy radzieckiej. Układy sowiecko-niemieckie z sierpnia i września 1939 r. dotyczyły również wymiany ludności. Z sowieckiej strefy interesów miała być ewakuowana ludność niemiecka, z terytoriów opanowanych przez Niemcy – ludność ukraińska i białoruska. Hitler już w 1940 r. mógł rozpocząć wielką akcję wysiedlania ludności polskiej z Wielkopolski, Pomorza i Łódzkiego. Na miejsce deportowanych do Generalnego Gubernatorstwa i wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec przybywali Niemcy z krajów bałtyckich, Wołynia i Besarabii. Stalin zatem ułatwił Hitlerowi realizację jego zbrodniczych koncepcji polityki narodowościowej.

S.C. – Po przegranej wojnie obronnej w niewoli niemieckiej znalazło się około pół miliona Polaków, w tym 19 tys. oficerów. Według źródeł rosyjskich, liczba jeńców polskich wziętych do niewoli przez Sowieków była porównywalna – odpowiednio ponad 450 tys. jeńców, w tym niecałe 19 tys. oficerów WP. Co jakiś czas wyliczenia te podlegają jednak weryfikacjom. W tym samym czasie na terenie Rumunii, Węgier, Litwy, Łotwy i Szwecji wraz z władzami RP internowano ponad 80 tys. żołnierzy, w tym około 10 tys. oficerów. Ich podstawowym celem było przedostać się na Zachód, do Francji, gdzie powstał rząd gen. Władysława Sikorskiego, który niemal od razu przystąpił do odbudowy armii polskiej.

B.P. – Wojna toczy się dalej. Paradoksalnie, kolejny jej obrót, to znaczy napaść Niemiec na Związek Sowiecki, stworzył perspektywę wyzwolenia tym Polakom, którzy wcześniej stali się ofiarami represji sowieckich.

J.W. – Aby to zrozumieć, należy wrócić do lat 1939–1941. Od lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. przeprowadzono kilka wielkich akcji deportacyjnych, trwały też wywózki indywidualne. Do dzisiaj nie wiemy, ilu Polaków po 1939 r. wywieziono w głąb ZSRR. Prof. Albin Głowacki, który zbadał sowieckie dokumenty, utrzymuje, że było ich około 325 tys. Emigracyjne szacunki, robione w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu, mówią o tym, że deportowano od 800 tys. nawet do półtora miliona.

B.P. – Od działaczy polskich w Kazachstanie usłyszałam liczbę dwa i pół miliona.

J.W. – Rozstrzygnięcie sporu będzie możliwe, gdy skonfrontuje się wszystkie źródła – nie tylko sprawozdania urzędowe władz sowieckich, ale również dokumentację polskich delegatur Ambasady RP w Związku Sowieckim, przechowywaną po wojnie w kalifornijskim Instytucie Hoovera. Bliższe prawdy są chyba jednak nowsze wyniki badań, oparte na danych z archiwów postsowieckich.

B.P. – Jak doszło do uwolnienia zesańców?

J.W. – Do czerwca 1941 r. nie było żadnych oficjalnych kontaktów polsko-sowieckich. Nie powiodła się próba utworzenia przez Sikorskiego biura przy ambasadzie brytyjskiej w Moskwie. Sytuacja oczywiście zmieniła się po 22 czerwca 1941 r., kiedy Niemcy napadły na ZSRR. Doszło do rozmów dyplomatycznych i zawarcia 30 lipca układu Sikorski–Majski. Efektem tej umowy była tak zwana amnestia. Jej formuła była dosyć dziwaczna, bo przecież obywatele polscy nie byli przestępcami. Zaczęto formować polskie wojsko pod wodzą gen. Władysława Andersa. Niezależnie od tego pojawił się problem wielotysięcznych rzesz ludności cywilnej, głównie kobiet, starców i dzieci.

B.P. – To był skomplikowany problem o charakterze dyplomatycznym, politycznym i logistycznym. Jak go rozwiązano?

J.W. – Była ewakuacja wiosenna, marzec–kwiecień 1942 r. i letnia, sierpień–wrzesień 1942 r. Sprawa ewakuacji pojawiała się w rozmowach między polskim rządem emigracyjnym a Rosjanami już wcześniej. Chodziło między innymi o to, że Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie cierpiały na brak żołnierzy, przede wszystkim szeregowców i podoficerów. Uważano, że Polacy ze Związku Sowieckiego mogą dostarczyć rekrutów. Rosjanie nie chcieli się na to zgodzić. Armia polska pod dowództwem Andersa miała zostać, by walczyć na froncie wschodnim. Najpierw więc chodziło o wyprowadzenie tylko kilku tysięcy ludzi. Rosjanie w końcu zgodzili się na ewakuowanie części żołnierzy, a potem, na skutek pogarszania się stosunków polsko-rosyjskich – całej armii. Przy okazji pojawiła się sprawa wyjazdu ludności cywilnej. Rosjanie godzili się tylko na ewa-



kuację rodzin wojskowych. Strona polska potraktowała to jako pojemną formułę: uwzględniła więc nie tylko osoby najbliższe, ale również krewnych żołnierzy, którzy znajdowali się w obozach jenieckich, i rodziny wszystkich polskich wojskowych, gdziekolwiek się oni znajdowali. Dochodziło też do licznych sporów w kwestii żydowskiej. Rosjanie i część strony polskiej utrzymywała, że Żydzi tej ewakuacji nie powinni podlegać, niemniej kilka tysięcy Żydów mogło wtedy wyjechać.

B.P. – Jak wyglądała sytuacja ludności cywilnej?

J.W. – Z ogólnej liczby około 115 tys. ewakuowanych prawie 40 tys. stanowiła ludność cywilna. Ci ludzie zostali wyrwani z piekła. Do tej pory przebywali w sowieckiej Azji Centralnej. W 1942 r. doszło tam do katastrofy humanitarnej – umierano z powodu chorób zakaźnych, tyfusu, malarii, straszliwego głodu. Według danych Ambasady RP tylko od początku lutego do kwietnia 1942 r. na 27 tys. obywateli polskich znajdujących się w *obłasti* samarkandzkiej zmarło z głodu i chorób ponad 1600 osób. Szybka ewakuacja była jedyną szansą ocalenia tych ludzi. Ludzie zabierali się z transportami wojskowymi i kolejną jechali do Krasnowodka. Tam była baza, gdzie przygotowywano dalszy wyjazd, załatwiano formalności, odbierano sowieckie dokumenty i pieniądze. Ludzie na sowieckich statkach płynęli do portu Pahlewi w Iranie, gdzie otworzono duże obozy przejściowe. Stamtąd w ciągu kilku dni wywożono ich do Teheranu, gdzie były już stałe, duże osiedla pod namiotami, w hangarach i niewykończonych halach fabrycznych. W czasie ewakuacji ludzie często umierali, mimo że starano się zapewnić im jak najlepsze warunki. Na brzegu perskim były zorganizowane szpitale, dostarczano pożywienie, od razu zmieniały się warunki życiowe. Zadbali o to Anglicy, ale i Persowie mieli swój duży wkład.

B.P. – Kto to finansował?

J.W. – W głównej mierze Anglicy, którzy stworzyli organizację do spraw pomocy uchodźcom (Middle East Relief and Refugee Administration). Koszty utrzymania uchodźców były pokrywane z kredytów angielskich udzielanych rządowi polskiemu do spłaty po wojnie.

B.P. – Czy spłata ta została wyegzekwowana?

J.W. – Polski rząd na uchodźstwie nie mógł oddać tych pieniędzy, gdyż do kraju nie powrócił. Ta sprawa wypłynęła ponownie w rozmowach między Anglikami a Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej. Anglicy chcieli, żeby część złota z Banku Polskiego ewakuowanego w 1939 r. trafiła do nich w ramach tych rozliczeń. Rząd polski argumentował, że Polska jest tak biednym krajem, iż nie jest w stanie spłacić długu. Ostatecznie Brytyjczykom wypłacono tylko 3 mln funtów w złocie, chociaż

ogólna kwota kredytów udzielonych polskiemu rządowi w Londynie na cele cywilne przekroczyła 30 mln funtów. Spłatę reszty umorzono lub rozłożono na 15 lat.

B.P. – Co później działo się z cywilami?

J.W. – Rok 1942 to przełomowy okres wojny. Niemcy wchodzą na Kaukaz, idą na Stalingrad, w Afryce atakuje Rommel. Alianci zachodni nie mieli zbyt dużego pola manewru, a jednak – i to trzeba docenić – w tych trudnych warunkach starali się, żeby ta ludność miała w miarę znośne warunki życia. W Iranie było bardzo trudno, między innymi z powodu niesprzyjającego, gorącego klimatu. Trzeba było Polaków ewakuować gdzieś dalej. Ostatecznie około 20 tys. popłynęło do Afryki, głównie do posiadłości brytyjskich – do Tanganiki, Ugandy, Rodezji Południowej i Północnej, Kenii i częściowo do Unii Południowej Afryki. Utworzono kilkanaście obozów dla uchodźców. Zapewniono w nich opiekę lekarską, wyżywienie, nie musieli pracować, chociaż starano się ich jakoś zająć. Administracje obozowe podlegały delegaturom Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Z pieniędzy przekazywanych przez Brytyjczyków opłacono koszty utrzymania obozów. Rozwinięto na dużą skalę szkolnictwo, prowadzono w miarę możliwości działalność kulturalną. Uchodźcy mogli przeżyć w obozach całą wojnę w zupełnie przyzwoitych warunkach. Część została w Teheranie i innych miejscowościach Iranu. Dzieci znalazły się w Isfahanie, gdzie powstały ośrodki szkolne, część była w Ahwazie, nad Zatoką Perską. Ośrodek irański liczący ogółem kilka tysięcy ludzi przetrwał do 1945 r. Powstało tam kilka bardzo cennych inicjatyw, między innymi utworzono instytucję naukową o nazwie Towarzystwo Studiów Irańskich, w której działali znani profesorowie: Stanisław Kościatkowski, Zygmunt Klemensiewicz i Stanisław Swianiewicz. Prowadzono badania nad kulturą i historią Persji. W Teheranie wydawano periodyk „Studia Irańskie”. W Persji powstały komórki PPS, ugrupowania narodowe, piłsudczykowski, toczono ostre spory polityczne. Rozwinęła się prasa polska. We wszystkich krajach, które przyjęły uchodźców, były polskie czasopisma, a nawet polskojęzyczne programy radiowe. Polacy ewakuowani z ZSRR znaleźli się też między innymi w Indiach Brytyjskich i Nowej Zelandii. Za zgodą gen. Andersa w Palestynie została część polskich oficerów pochodzenia żydowskiego. Około 1500 osób skierowano do osiedla Santa Rosa w środkowym Meksyku. Ważnym ośrodkiem polskim był też Bejrut – stolica Libanu.

B.P. – Czy ci ludzie zostali tam po wojnie?

J.W. – Na ogół chcieli wyjeżdżać, bo te kraje były biedne, a oni sami nie bardzo mieli możliwości startu. Przeważali wśród nich niezamożni chłopci



z Kresów, bez kwalifikacji, bez znajomości języka. Nie uczono się angielskiego, ponieważ uważano, że to jest okres przejściowy. Proces emigracji Polaków z obozów uchodźców do bogatych krajów Zachodu, głównie Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii, Francji, a także Argentyny, był trudny i trwał długo, aż do początków lat pięćdziesiątych.

B.P. – Utrwała się nowy podział Europy i podział Polaków, na tych, którzy są w nowej Polsce, i tych, którzy są na emigracji. To jest podział przestrzenny i polityczny.

S.C. – Podział ten był dość czytelny dla znacznej części polskiego wychodźstwa już w 1943 r. – w przełomowym momencie wojny. Wystarczy sięgnąć do ówczesnej publicystyki Ignacego Matuszewskiego, Stanisława Mackiewicza czy dzienników Tadeusza Katelbacha, by się przekonać, iż nie mieli oni złudzeń co do tego, że niebawem Polska znajdzie się w objęciach Stalina, który nie dość, że ją podbije, to w dodatku zaanektuje Kresy Wschodnie. Decyzje podjęte przez mocarstwa podczas konferencji w Moskwie, Teheranie czy Jaltcie były dla nich tylko przypieczętowaniem klęski, której początek stanowiły zwycięstwa Armii Czerwonej pod Stalingradem i Kurskiem. Charakterystyczne, że dla środowisk piłsudczykowskich w Stanach Zjednoczonych, a po części także w Londynie, przełomem jest nie tyle tragiczna śmierć Sikorskiego, ile właśnie sukcesy Armii Czerwonej i październikowa konferencja moskiewska. Nie chcę przez to powiedzieć, że był to pogląd dominujący, niemniej jednak znaczna część wychodźstwa w ten sposób myślała.

B.P. – Jak można scharakteryzować poglądy Polaków za granicą na nowy ład w Polsce i Europie?

S.C. – W pierwszych latach po wojnie dominowały trzy orientacje. Pierwszą – tak zwaną realistyczną – uosabiał Mikołajczyk. Jej zwolennicy twierdzili, iż idea legalizmu i pozostania na wygnaniu zbankrutowała, trzeba aktywnie włączyć się w życie polityczne i społeczne kraju, próbując w ten sposób powstrzymać proces sowietyzacji Polski. Drugą – tak zwaną legalistyczną – tworzyli „niezłomni” wraz ze wszystkimi instytucjami „państwa na wygnaniu” (prezydent, rząd, wojsko). Liczyli oni na globalny konflikt między Wolnym Światem a Związkiem Sowieckim. I wreszcie orientacja „zdroworozsądkowa”, którą praktycznie reprezentowało środowisko „Kultury” paryskiej. Pozostając na wygnaniu, Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski porzucili legalizm. Sądzieli, że ciężar walki o niepodległość spoczywać będzie nie na „polskim Londynie”, a wyłącznie na Polakach w kraju. Rolę emigracji postrzegali przede wszystkim przez pryzmat pomocy krajowi. W Stanach Zjednoczonych sytuacja wyglądała inaczej. Od 1944 r. działał tu Kongres Polonii Amerykańskiej, który przynajmniej



Parada Pułaskiego w Nowym Jorku. Tyłem odwrócony kard. O'Connor – arcybiskup Nowego Jorku (lata dziewięćdziesiąte). Fot. S. Cenckiewicz

w pierwszym okresie opowiadał się za współpracą z rządem RP na uchodźstwie, lecz po umowie Rozmarek–Mikołajczyk z 1947 r. ograniczył swe kontakty z Londynem. Prezes KPA Karol Rozmarek w dalszym ciągu nie uznawał jednak władz warszawskich i opowiadał się za wyzwoleniem kraju spod komunizmu. W pełni „londyńską” emigrację na terenie Stanów tworzyły natomiast agendy rządu na uchodźstwie, środowisko nowojorskiego Instytutu Józefa Piłsudskiego i Stowarzyszenia Polskich Kombatan-tów. Stały one na gruncie legalizmu, protestując zdecydowanie przeciw wszelkim próbom pozyskania Polonii amerykańskiej przez komunistów.

B.P. – Nie bardzo wierzę, że władze komunistyczne nie zyskały za oceanem żadnego poparcia.

S.C. – Tego nie powiedziałem. Już podczas wojny, głównie na Wschodnim Wybrzeżu USA, dali o sobie znać późniejsi „inżynierowie dusz” – Aleksander Hertz, Oskar Lange, Bolesław Gebert, Stefan Arski czy Julian Tuwim. Za oceanem ukrywali się pod szyldem „postępowej części Polonii” i obrońców polityki Sikorskiego. Od końca 1941 r. w ostrych słowach atakowali „sanację” i otwarcie opowiadali się za bliską współpracą ze Związkiem Sowieckim. Jako pierwsi agitowali także za rewizją granicy ryskiej i uznaniem linii Curzona. Po wojnie natomiast zachęcali do powrotu do kraju i „zasiedlania ziem odzyskanych”. Nieprzypadkowo pierwszym ambasadorem Polski Ludowej w USA został właśnie Lange. Komunistom chodziło o pokazanie, że emigracja i Polonia amerykańska to nie tylko „reakcyjniści” i „sanatorzy”, ale też „ludzie postępu” przyjaźnie nastawieni do Związku Sowieckiego. Specjalną rolę miały tu ode-

grać tak znane i cieszące się autorytetem postaci jak poeta Julian Tuwim, legenda powstania w getcie warszawskim Jan Galewicz, aktor i malarz Tadeusz Kantor czy nawet Czesław Miłosz, który pełnił po wojnie funkcję attaché kulturalnego w Waszyngtonie. Wszyscy oni zgodnie agitowali za „nową Polską” i namawiali do powrotu. W walce o wpływy w środowisku polonijnym w Stanach sięgano nawet po straszak antysemityzmu. Lange i Galewicz w 1946 r. próbowali pozyskać do współpracy przynajmniej się do polskości, lecz nie działających w KPA Żydów. Straszono ich antysemityzmem kierownictwa Kongresu i przybywających do USA zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, których obwiniano nawet o pogrom kielecki. W lipcu 1946 r. manipulowanie stosunkami polsko-żydowskimi spotkało się ze zdecydowaną reakcją nowojorskiego środowiska polskich intelektualistów pochodzenia żydowskiego (między innymi Jana Lechonia, Henryka Aschkenazego i Kazimierza Wierzyńskiego).

J.W. – Wymienieni działacze komunistyczni wypłynęli na szersze wody polityczne. Był taki projekt Stalina, żeby członkowie Polonii amerykańskiej, między innymi Oskar Lange i ksiądz Stanisław Orlemański (polski ksiądz urodzony w Stanach Zjednoczonych), weszli w skład przygotowywanego rządu polskiego, tego przyszłego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Zostali zaproszeni do Moskwy i przyjęci przez samego Stalina, który prowadził z nimi rozmowy. Było to niezwykle perfidne posunięcie, wymierzone przeciwko rządowi w Londynie. Trwały przetargi o to, ilu przedstawicieli rządu na uchodźstwie ma wejść do nowego rządu tworzonego w kraju. Rosjanie mówili – my jesteśmy gotowi wprowadzić do niego obywateli amerykańskich i nawet księdza katolickiego (Lange i Orlemański mieli obywatelstwo amerykańskie). Użyto ich jako elementu nacisku na polski Londyn.

S.C. – Komuniści nie osiągnęli w Stanach Zjednoczonych zbyt wielkich sukcesów. W 1955 r. do fiaska polityki PRL wobec Polonii przyznał się nawet ambasador Romuald Spasowski.

B.P. – W 1945 r. Londyn jest nadal siedzibą Rządu Polskiego na uchodźstwie. W lipcu tego roku alianci cofnęli mu uznanie, przekazując je ekipie Bieruta. To jest początek sporu w polskim Londynie. Na czym ten spór polegał?

S.C. – Dotyczył dwóch kwestii – powrotu do Polski i uznania nowej, komunistycznej rzeczywistości. W „polskim Londynie” powstają dwa nieformalne stronnictwa – stojących na gruncie legalizmu „niezłomnych” i opowiadających się za powrotem do kraju „realistów” (nazywanych czasem „zdrajcami”). Pierwsi skupili się wokół legalnych władz – prezydenta Władysława Raczkiewicza i rządu Tomasza Arciszewskiego, dru-

dzy natomiast razem ze Stanisławem Mikołajczykiem, Stanisławem Kotem, Stanisławem Grabskim i Henrykiem Strasburgerem wyjechali do Warszawy. Co ciekawe, niektórzy z nich wracali później na Zachód, lecz w zupełnie nowej roli. Strasburger i Kot – główne filary ekipy Sikorskiego i Mikołajczyka – zostali dyplomatami komunistycznej Polski.

J.W. – Henryk Strasburger, były członek rządu gen. Sikorskiego, był pierwszym ambasadorem Polski Ludowej w Londynie, z kolei hrabia Jan Drohojowski, były ambasador na Kubie, z ramienia Polski Ludowej został ambasadorem w Meksyku. Kwestia wyborów politycznych nie była ograniczona tylko do Mikołajczyka i ludowców. Jednak Mikołajczyk, mając ograniczone poparcie Zachodu, próbował wykorzystać możliwości polityczne, które jeszcze pozostały.

B.P. – Czy postawa Mikołajczyka miała jakieś poparcie?

S.C. – Pomijając zwykłych żołnierzy i cywilów powracających do kraju, Mikołajczyk nie mógł liczyć na większe poparcie polityczne w Londynie. Najważniejsze stronnictwa polityczne emigracji – PPS, Stronnictwo Narodowe czy Liga Niepodległości Polski – okrzyknęły go „zdrajcą sztandaru legalizmu” i „księciem jattańskim”. W pierwszych latach po wojnie do kraju wróciło wprawdzie około 100 tys. żołnierzy PSZ, lecz zarówno elity wojskowe, jak też główne ugrupowania polityczne w Londynie opowiedziały się za kontynuowaniem walki o niepodległość. Sytuacja była dość skomplikowana. Rząd polski był uznawany już tylko przez Watykan oraz rządy Hiszpanii, Portugalii, Irlandii i Chile. Emigracja londyńska i środowiska polonijne w Stanach Zjednoczonych bezskutecznie próbowały odwrócić bieg historii. Jeszcze w kwietniu 1945 r. grono działaczy Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia na czele z Ignacym Matuszewskim weszło w skład delegacji amerykańskiej na konferencję 46 państw w San Francisco. W trakcie jej trwania mjr Henryk Floyar-Rajchman domagał się od Mołotowa wyjaśnień na temat porwania 16 członków rządu podziemnego. Jednak działania te, choć – trzeba przyznać – dość spektakularne, nie mogły osiągnąć spodziewanego efektu. Pozostawały więc nadzieje na konflikt Wschód–Zachód i wybuch trzeciej wojny światowej.

B.P. – Skąd, po 1945 r. brały się środki na funkcjonowanie władz emigracyjnych?

J.W. – Większe możliwości finansowe miała w zasadzie tylko Polonia amerykańska, która z racji swojej liczebności i jednak określonego dobrobytu materialnego mogła wspomóc różnego rodzaju przedsięwzięcia na rzecz sprawy polskiej. Wspomnieć można tu chociażby o utworzeniu Skarbu Narodowego.



S.C. – Regularnych wpłat na konto Skarbu Narodowego dokonywano jednak przede wszystkim w „polskim Londynie”, choć wpływy te były znikome i nie wystarczały nawet na pokrycie kosztów urzędowania prezydenta i rządu. Problemy finansowe pogłębiał w dodatku kryzys polityczny emigracji, który trwał nieprzerwanie od śmierci prezydenta Raczkiewicza w 1947 r. aż do objęcia w 1972 r. prezydentury przez Stanisława Ostrowskiego. Spór dotyczył kwestii sukcesji po Raczkiewiczu, która w 1947 r. przypadła Augustowi Zaleskiemu. Główne stronnictwa emigracyjne zawarły porozumienie, domagając się jednogłośnie ustąpienia Zaleskiego i powierzenia urzędu gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Niestety, mimo kilku misji mediacyjnych, kryzysu tego nie zdołano przezwyciężyć, co w jeszcze większym stopniu obniżyło pozycję polskiego uchodźstwa na arenie międzynarodowej. W okresie rozbitcia emigracji istniały faktycznie dwa ośrodki władzy (prezydencki i skupiony wokół Rady Trzech „obóz zjednoczenia”), a więc także dwa Skarby Narodowe. Po scaleniu obozu niepodległościowego w 1972 r. władze RP na uchodźstwie ponownie powołały wspólny Skarb Narodowy.

J.W. – Podstawy finansowe działalności publicznej emigracji były bardzo wątpliwe, z wyjątkiem Wolnej Europy, która miała solidne zaplecze, ale to nie były pieniądze polskie. Sporymi środkami finansowymi dysponował w Stanach Zjednoczonych na przykład Związek Narodowy Polski, stanowiący najsilniejszą organizację w ramach Kongresu Polonii Amerykańskiej. Ta wielka instytucja, licząca kilkaset tysięcy członków o majątku kilkuset milionów dolarów, mogła sobie pozwolić na różnego rodzaju akcje charytatywne, wydawnicze, dysponowała własną rozgłośnią radiową, własną prasą.

B.P. – **Powróćmy do relacji między PRL a emigracją i Polonią. Władze w Warszawie nawoływały Polaków do powrotu. Czym się wówczas kierowały?**

J.W. – W chwili zakończenia wojny poza granicami państwa polskiego w nowym kształcie terytorialnym były miliony Polaków. Na roboty przymusowe wywieziono w latach wojny ponad 2,5 mln Polaków, część z nich jeszcze była w Niemczech. Na Wyspach Brytyjskich, we Włoszech i na Bliskim Wschodzie stacjonowały Polskie Siły Zbrojne. Setki tysięcy Polaków znajdowały się w Związku Sowieckim. I jeszcze Polacy w Afryce, Indiach, Meksyku, Nowej Zelandii, w Portugalii itd. Dla nowych władz komunistycznych był to ogromny problem natury politycznej, bo ci uchodźcy mogli stać się zapleczem dla działalności politycznej rządu londyńskiego. Był to również problem o charakterze gospodarczym – jeżeli kilka milionów obywateli przebywa poza granicami kraju, to nie uczestniczą oni w dziele odbudowy. W końcu w grę wchodziły względy społeczne – rozdzielenia setek tysięcy rodzin. Władze komunistyczne były zaintereso-

wane tym, żeby jak najwięcej ludzi powróciło. Rzucono hasło: wszyscy wracajcie, dla każdego jest miejsce w ojczyźnie. Powstały Państwowy Urząd Repatriacji, urząd Głównego Pełnomocnika ds. Repatriacji, urzędy pełnomocników ds. ewakuacji ludności polskiej z terenów Związku Sowieckiego, powołano misje repatriacyjne, które wysyłano do innych krajów. Polacy znajdujący się w krajach zachodnich stawali przed wielkim dylematem. Wracać do kraju, który nie był ani suwerenny, ani demokratyczny, czy też wybrać emigrację. Stali przed trudnym wyborem, ale przynajmniej mogli sami decydować.

Jeśli chodzi o dawną ludność kresową, to sprawa była dodatkowo skomplikowana, bo ci, którzy wyszli z armią gen. Andersa, nie mieli dokąd wracać. W latach 1944–1945 lubelski PKWN, a potem rząd w Warszawie, zawarł wiele układów z władzami Związku Sowieckiego o repatriacji Polaków zza Buga. Objęto nimi tych Polaków i Żydów, którzy znajdowali się w głębi ZSRR, i tych, którzy mieszkali na Kresach Wschodnich.

B.P. – Czy można zbilansować te powojenne powroty?

J.W. – W latach 1944–1948 ze Związku Sowieckiego przyjechało do Polski ponad 1,5 mln przedwojennych obywateli polskich. Repatriacją nie objęto wszystkich, w ZSRR pozostały znaczne skupiska ludności polskiej. Według oficjalnych danych, w 1959 r. mieszkało tam nadal około 1,4 mln Polaków, z czego ponad pół miliona na Białorusi i ćwierć miliona na Litwie. Z Niemiec wróciła ogromna część robotników przymusowych wywiezionych tam w latach wojny. Liczbę tych, którzy powrócili, szacuje się na 1,6 mln osób. Z innych krajów europejskich, w tym Wielkiej Brytanii, przyjechało blisko 300 tys. osób. Kilka tysięcy powróciło z krajów pozaeuropejskich.

S.C. – W 1945 r. w Niemczech było około miliona Polaków, rok później pozostało ich niespełna pół miliona. W 1949 r. na terenie zachodnich Niemiec pozostawało łącznie ponad 100 tys. Polaków. Do opieki nad tak wielką rzeszą rodaków rząd polski na uchodźstwie powołał Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech, który, jak wiele na to wskazuje, dysponował dość pokaźnymi sumami pieniędzy. Powstało tam także Zjednoczenie Polskie, któremu przewodzili deklarujący się wówczas jako „niezłomni” Klaudiusz Hrabyk i Witold Olszewski. I choć w późniejszym okresie obaj wrócili do kraju, to zaraz po wojnie opowiadali się za pozostaniem na wygnaniu i kontynuowaniem walki z reżimem. Do najbardziej spektakularnych powrotów należał niewątpliwie przyjazd urzędującego premiera rządu na uchodźstwie Hugona Hankego we wrześniu 1955 r. Po latach okazało się, że był on agentem wywiadu PRL o pseudonimie „Ważny”. Poza Hankem, do kraju wrócił także inny z emigracyjnych premierów – Stanisław Cat-Mackiewicz.

J.W. – Toczyła się wielka dyskusja – wracać czy nie wracać. Dla robotników przymusowych sytuacja była o tyle prosta, że większość tych ludzi pochodziła z Kieleckiego, Poznańskiego, Łódzkiego, oni mieli dokąd wracać. Dla żołnierzy armii Andersa czy dla cywilów w Afryce repatriacja do Polski oznaczała przybycie do kraju, którego w ogóle nie znali, bo Kresy pozostały po stronie sowieckiej. Władze komunistyczne działały bardzo skutecznie i w sposób przemyślany. W obozach dla uchodźców pojawiali się oficerowie repatriacyjni, którzy najpierw starali się pozyskać przychylność władz angielskich. Apele o powrót drukowano w angielskojęzycznej prasie. Skutek był marny, wracali tylko ci, których część rodziny była już w Polsce.

Mówiąc o migracjach okresu powojennego, można wprowadzić pewną periodyzację. Pierwsze powojenne lata to okres dużych ruchów migracyjnych, tak zwana repatriacja ze Wschodu, repatriacja z Zachodu. Wtedy na polskiej granicy chętnie przepuszczano powracających. Zmiana nastąpiła około 1948 r., granice zostały zamknięte i nikogo już nie zachęcano do powrotu. Polaków pozostających na emigracji przedstawiano jako zdrajców, zaczęły się represje wobec tych, którzy wrócili wcześniej. Efekt był taki, iż w 1950 r. powróciło do Polski tylko 3 tys. osób. W połowie lat pięćdziesiątych władze znowu zaczęły nawoływać emigrantów politycznych do powrotu.

B.P. – Polacy zaczęli też opuszczać „Polskę Ludową”.

J.W. – Statystyki emigracji z Polski wyraźnie wskazują, że wyjazdy te były związane z przesileniami politycznymi. W pierwszych latach po wojnie wyjazdów było sporo, między innymi z racji łączenia rodzin. W latach 1948–1954 liczba emigrantów spadła do kilku tysięcy osób rocznie, więc można powiedzieć, że to było zjawisko marginalne. Po Październiku 1956 r. obserwujemy nasilenie się fali wyjazdów. W latach 1956–1957 rocznie wyjeżdżało blisko 150 tys. osób. Potem następuje znaczny spadek i następna fala wyjazdów pojawia się w latach 1968–1969, a kolejna na początku rządów Gierka, w związku z liberalizacją polityki wyjazdowej, w końcu wielka fala emigracji związana była z kryzysem lat 1980–1981. Emigrantami w okresie powojennym byli nie tylko Polacy, ale i Żydzi oraz Niemcy, którzy przede wszystkim zostali wysiedleni w latach czterdziestych. Spore ich grupy zostały na Śląsku, Pomorzu i w województwie łódzkim. Ich sytuacja często była skomplikowana, byli związani małżeństwami mieszanymi. Odrębny był problem ludności polsko-niemieckiego pogranicza językowo-kulturowego, zwłaszcza na Opolszczyźnie, Mazurach i Kaszubach. Po 1956 r. i później w decyzjach o wyjeździe do Niemiec dominującą rolę odgrywał częściej czynnik ekonomiczny niż ideologiczny. Niemcy Zachodnie były krajem dobrze prosperującym. Odbывała się też akcja łączenia rodzin, na którą nalegał rząd w Bonn. Z Polski wyjechały tysiące Żydów, którzy przeżyli wojnę na Wschodzie.



Karyktura Mieczysława Piotrowskiego, „Szpilki“, 17 kwietnia 1945 r.

Wyjeżdżali głównie po powstaniu państwa Izrael i pod wpływem nastrojów antysemickich w Polsce. Kolejna ich grupa wyjeżdża w latach 1956–1957, część z nich stanowili ludzie aparatu partyjnego i służb specjalnych, którzy stracili pracę w wyniku destalinizacji.

B.P. – Jak środowiska polonijne na Zachodzie przyjmowały PRL-owskich emigrantów?

S.C. – Zależało to od tego, jaką pozycję zajmowali w PRL. Przykładem – delikatnie mówiąc – niechęci emigracji niepodległościowej do „współpracowników reżimu” może być sprawa Czesława Miłosza. Jego przyjazd do Paryża wywołał wiele kontrowersji, a jeden z najwybitniejszych polskich sowietologów emigracyjnych, a wcześniej oficer polskiego wywiadu kpt. Jerzy Niezbrzycki (pseudonim Ryszard Wraga) oskarżył go o agenturalność. Niemal jedynym obrońcą poety był Giedroyc.

B.P. – Środowiska starej emigracji musiały jakoś uporać się z tym, że z kraju wyjeżdżają ludzie, i siłą rzeczy musiały otoczyć przyjezdnych opieką.

S.C. – Najlepiej przyjmowano żołnierzy Armii Krajowej i ludzi podziemia, czyli dawnych towarzyszy broni. Starano się im pomóc, choć rząd emigracyjny sam borykał się z trudnościami finansowymi. Nie miało

większego znaczenia, czy ktoś był przed wojną znanym politykiem, po-
stem czy senatorem. Każdy musiał radzić sobie na własną rękę. W Lon-
dynie wielu zasilalo tak zwane „srebrne brygady” – pracowników czysz-
czących po nocach srebro w angielskich zakładach jubilerskich.

B.P. – Jak zmieniał się stosunek władz PRL do Polonii w późniejszym okresie?

S.C. – Przełom w polityce PRL wobec emigracji i Polonii nastąpił w 1955 r. Wtedy uznano, że nie można w nieskończoność potępiać wszystkich Polaków żyjących w świecie zachodnim i zakładać, iż są oni wrogami Polski Ludowej. Postanowiono więc w większym stopniu wpły-
nąć na pogłębienie różnic wewnątrz środowisk emigracyjnych i polonij-
nych. Aby skłonić Polaków do współpracy z PRL, umiejętnie wykorzysty-
wano przeróżne sentymenty – tęsknotę za krajem, za bliskimi, chęć od-
wiedzenia grobów itd. Inicjatorem tej zmiany był Komitet ds. Bezpie-
czeństwa Publicznego, który w 1955 r. powołał Towarzystwo Łączności
z Wychodźstwem „Polonia” (od 1959 r. Towarzystwo Łączności z Polonią
Zagraniczną „Polonia”). Idea utworzenia Towarzystwa najprawdopodob-
niej narodziła się w Moskwie, gdyż pojawia się ona po raz pierwszy
w dyskusji partyjnej w marcu 1955 r., zaraz po powrocie z Moskwy de-
legacji Komitetu ds. Bezpieczeństwa (między innymi odpowiedzialnych
za sprawy emigracji Jana Ptasieńskiego i Antoniego Alstera). Przez cały
okres PRL formalną kontrolę nad Towarzystwem sprawował Wydział Za-
graniczny KC PZPR. Wśród wyznaczonych przez KBP celów Towarzystwa
„Polonia” było między innymi pogłębienie sprzeczności w reakcyjnych
ośrodkach emigracyjnych, kompromitowanie przywódców, udzielanie po-
parcia i pomocy grupom, które są zainteresowane współpracą z krajem
lub chcą do niego wrócić. Wspieranie Polonii przybierało czasem dość
groteskowe formy. W 1955 r. Wydział Zagraniczny KC PZPR zapropono-
wał wysyłanie Polakom w USA paczek żywnościowych. Ustalono nawet
specjalną normę. Na paczkę składać się miały: jedna sucha kiełbasa,
suszone grzyby, jedna czekolada ze specjalnym opakowaniem (najlepiej
z widokiem Warszawy), dwie paczki papierosów („Belweder” i „Wawel”).

J.W. – „Powrotowa” akcja propagandowa PRL napotkała niespodziewa-
ną przeszkodę. Za pośrednictwem Radia Wolna Europa i BBC środowi-
ska emigracyjne rozpoczęły akcję poszukiwania i śledzenia losów Pola-
ków na Wschodzie. Pytano władze PRL – co dzieje się z Polakami, którzy
nie zdążyli się repatriować w pierwszych latach powojennych? Podawa-
no informacje o Polakach nadal przebywających w sowieckich łagrach.
Ta akcja ujawniła prawdziwe intencje władz i zmusiła je do działania
w sprawie Polaków w Związku Sowieckim. Pierwsze transporty Polaków
uwolnionych z łagrów przybyły jeszcze przed przełomem październiko-
wym. Po objęciu władzy przez Władysława Gomułkę władze sowieckie

i polskie podpisały deklarację o wznowieniu repatriacji, która potem stała się pełnoprawną umową międzynarodową. W czasie drugiej fali repatriacji powróciło do Polski około 250 tys. osób. Tak więc powojenna „repatriacja” Polaków ze Wschodu miała dwie fale, pierwszą w latach 1944–1948, drugą w latach 1956–1959.

S.C. – W rozumieniu komunistów repatriacja miała dotyczyć wyłącznie mieszkańców Kresów Wschodnich, nie zaś polskich zesłańców z Kazachstanu i Syberii. W 1955 r. Radio Wolna Europa rozpoczęło emisję audycji poświęconych Polakom na Wschodzie, także zesłańcom. Nieprzypadkowo akcja RWE rozpoczęła się po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Sowietami a RFN. Właśnie na podstawie umowy Konrada Adenauera z Nikitą Chruszczowem do Niemiec powróciło około 9 tys. zesłańców niemieckich, którzy niezwłocznie poinformowali pracowników Sekcji Polskiej RWE o losie więzionych Polaków. Niemal w tym samym czasie z sowieckiego łagru zbiegł młody Polak – Henryk Ufnal – któremu udało się przedostać przez zieloną granicę do Iranu, a stamtąd do Europy. Dla zespołu Jana Nowaka Ufnal był niezastąpionym źródłem informacji o Polakach w Sowietach. Dzięki niemu dowiedziano się między innymi o losie komendanta krakowskiego Okręgu AK płk. Przemysława Nakoniecznikoff-Klukowskiego. Wydaje się, że akcja „Free Europe” była dla komunistów prawdziwym ciosem. Począwszy od lipca 1955 r., niemal codziennie na antenie RWE wyczytywano z nazwiska Polaków przetrzymywanych w konkretnych łagrach sowieckich. W ciągu zaledwie kilku miesięcy RWE nadała na ten temat prawie 50 programów o łącznym czasie antenowym 630 minut.

J.W. – O skuteczności tej akcji świadczy to, że w Październiku 1956 r., kiedy przez kraj przetaczała się fala wieców i manifestacji, bardzo często pojawiały się na nich hasła upominające się o Polaków w Rosji.

S.C. – RWE prowadziło w tej sprawie bardzo zaawansowane studia. Była to przede wszystkim zasługa pracownika Wydziału Studiów i Analiz RWE Kazimierza Zamorskiego, który przeprowadzał wywiady z powracającymi z łagrów Niemcami oraz opracowywał zebrany materiał w formie obszernych raportów. Dzięki jego pracy na początku lat sześćdziesiątych ustalono, że w różnych republikach sowieckich znajduje się około 1 380 tys. Polaków, z czego 53 tys. w Kazachstanie, 1 18 tys. w Sowieckiej Republice Rosyjskiej, co w oczywisty sposób zaprzeczało oficjalnemu stanowisku władz PRL, które utrzymywały, iż wraz z zakończeniem w 1959 r. drugiej repatriacji na terenie ZSRR nie pozostał już ani jeden Polak.

B.P. – Po okresie powojennego kokietowania, później konfrontacji, stosunki Polonii z krajem musiały jednak jakoś się ułożyć. Tu i tam często były dzieci tych samych rodziców.

J.W. – Po 1956 r., a szczególnie po 1970 r., mimo licznych kontrowersji Polacy w Stanach Zjednoczonych i innych krajach Zachodu włączali się w akcje charytatywne na rzecz kraju. Na przykład fundacja charytatywna Kongresu Polonii Amerykańskiej gromadziła duże fundusze, które za pośrednictwem Kościoła katolickiego były transferowane do Polski w formie choćby pomocy medycznej. Przy okazji trzeba powiedzieć, że Kościół i jego misje katolickie miały ogromne zasługi zarówno dla emigracji, jak i w łączności między Polakami w kraju i za granicą.

W akcji charytatywnej Polonii amerykańskiej uczestniczyli znani polonijni przedsiębiorcy. Między nimi był Edward Piszek, którego majątek w latach siedemdziesiątych szacowano na pół miliarda dolarów. Byli i inni, jak chociażby Czesław Sawko z Chicago. Pomoc nasiliła się w 1980 r., kiedy przyjechał do Polski Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej (był pierwszym prezesem, który się na to zdecydował). Zbierano pieniądze między innymi dzięki specjalnym programom telewizyjnym, tak zwanym teletonom. Środki te szły przede wszystkim na lekarstwa.

S.C. – Musimy jednak pamiętać, że za tymi działaniami charytatywnymi stały często służby specjalne PRL. Powrócę w tym miejscu do lat siedemdziesiątych. Otóż niedługo po dojściu do władzy Edwarda Gierka przyjęto nowy plan pracy z Polonią opracowany pod kierownictwem Wincentego Kraśki. Plan zakładał między innymi pozyskanie do współpracy z PRL polonijnych biznesmenów, naukowców i duchownych. Współpraca miała polegać na wymianie myśli naukowej, organizowaniu pomocy charytatywnej, a nawet tworzeniu podstaw inwestowania w kraju. W dziedzinie naukowej szczególna rola przypadła Komitetowi Badania Polonii przy PAN oraz Instytutowi Polonijnemu na Uniwersytecie Jagiellońskim, które przy współpracy z Towarzystwem „Polonia” i nowojorską Fundacją Kościuszkowską wspólnie decydowały o wymianie stypendialnej pomiędzy PRL a Stanami Zjednoczonymi. Jeśli zaś chodzi o przyciąganie do PRL polonijnego kapitału, to postać Piszka jest tu dobrym przykładem. We współpracy ze Zjednoczeniem Gospodarki Rybnej chciał wybudować zakład przetwórstwa ryb. Trzeba przyznać, że władze PRL doceniły go w wyjątkowy sposób. W 1976 r. na wniosek Towarzystwa „Polonia” i odpowiednich czynników partyjnych MON zorganizowało mu specjalną strefę powietrzną, umożliwiającą przelot prywatnym samolotem. W trzydziestą rocznicę istnienia PRL Gierek odznaczył go odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, a Uniwersytet Jagielloński uhonorował tytułem doktora honoris causa. W tej sprawie nie chodziło tylko o inwestycje w kraju. Za pieniądze Piszka w 1972 r. sfinansowano książkę *Poland*, której wydawcą było polskie seminarium duchowne z Orchard Lake. Proszę sobie wyobrazić, że na okładce wydanej w USA i propagowanej wśród Polonii książki widnieje między innymi fotografia z obchodów rocznicy Manifestu Lipcowego PKWN! Publikacja ta datuje początek wielkiej



Instytut – Galeria Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. W górnych gablotach odznaczenia gen. Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego. Fot. S. Cenckiewicz.

ofensywie PRL w środowisku polonijnym w Stanach Zjednoczonych. Odpowiednią rolę odgrywały przedstawicielstwa „Orbisu”, PKO i LOT-u, których zadaniem miała być zmiana nastawienia polonusów do PRL.

J.W. – W Polsce zastanawiano się, jak spacyfikować antykomunistyczne nastroje Polonii amerykańskiej. Pamiętajmy, że wielu Polaków amerykańskich nie wyobrażało sobie wejścia do gmachu konsulatu PRL, nawet pójście na występy „Mazowsza” lub do biura PKO było źle widziane. Jednak wielu decydowało się na nawiązanie kontaktów z władzami komunistycznymi. Oceniając postawę Piszka, pamiętaąc trzeba, iż zrobił on jednak bardzo dużo w dziedzinie charytatywnej, włączając się w akcję zwalczania gruźlicy w Polsce. To on namówił swego przyjaciela, sławnego pisarza Jamesa Mitchenera, aby odłożył inne plany literackie i napisał książkę o Polsce. Sponsorował też wiele innych wartościowych inicjatyw, między innymi tłumaczenie *Trylogii* na język angielski. Jednak jest faktem, że spór o to, jak ustosunkować się do władz w kraju, trwał do ostatnich dni PRL.



Sławomir Cenckiewicz – historyk, absolwent Uniwersytetu Gdańskiego. Pod kierunkiem prof. Romana Wapińskiego przygotowuje obecnie rozprawę doktorską o Tadeuszu Katelbachu. Członek Światowej Rady Porozumiewawczej Badań nad Polonią oraz Towarzystwa Przyjaciół Instytutów Józefa Piłsudskiego Za Granicą. Specjalizuje się w dziejach emigracji i Polonii amerykańskiej oraz światowej myśli geopolitycznej. Publikował między innymi na łamach „Niepodległości”, „Arcanów” i „Orla Białego”.



Janusz Wróbel – dr nauk humanistycznych. Specjalizuje się w problematyce przemian demograficznych w latach drugiej wojny światowej, mniejszości narodowych na ziemiach polskich oraz emigracji polskiej w krajach pozaeuropejskich. Autor książki *Rozproszeni po świecie. Obozy i osiedla uchodźców polskich ze Związku Sowieckiego 1942–1950* oraz ponad stu publikacji o charakterze naukowym i popularyzatorskim. Kierownik referatu naukowego w OBEP w Łodzi.



Konsulat PRL w Nowym Jorku (obecnie konsulat RP). Fot. S. Cenckiewicz

ŻYLIŚMY NADZIEJĄ

Z BYŁYM PREZYDENTEM RZECZYPOSPOLITEJ RYSZARDEM KACZOROWSKIM ROZMAWIA TOMASZ DANILECKI

Tomasz Danilecki – Panie Prezydencie, w 1940 r. w Białymstoku, mając niespełna 21 lat, został Pan aresztowany przez NKWD. Po wielomiesięcznym śledztwie, 1 lutego 1941 r. sowiecki sąd w Mińsku skazał Pana na karę śmierci za „wstąpienie do polskiej, kontrrewolucyjnej, powstańczej organizacji »Szare Szeregi«, która postawiła sobie za cel obalenie w drodze zbrojnej sowieckiej władzy na zachodnich terenach Białorusi”. Przez 100 dni siedział Pan w celi śmierci. Potem zamieniono Panu wyrok na dziesięć lat zesłania. Z celi śmierci jechał Pan pociągiem do, *nomen omen*, Doliny Śmierci – kopalni złota na Kołymie...

Ryszard Kaczorowski – Nie wiedzieliśmy wówczas, dokąd nas wiozą, przez jakie miejscowości. Udzielano nam jak najmniej informacji. Wiedzieliśmy tylko, że wiozą nas na Wschód. Okruchy wiadomości zbieraliśmy od spotykanych po drodze starych sowieckich łągierników. Jadąc tam, myśleliśmy, że to nie może się tak zakończyć, że kiedyś jeszcze będziemy wracali tą drogą. Nie wszystkim się to udało. Ja wróciłem, ale nie ze Wschodu, tylko okrężną drogą, z Zachodu, 50 lat później.

Zdołał Pan przeżyć czas zesłania i dzięki układowi Sikorski–Majski trafił Pan do armii gen. Władysława Andersa...

– Nie było to tak, że zwolniono nas i natychmiast trafiliśmy do wojska. Z łagru musieliśmy najpierw dotrzeć do jakichś środkowoeuropejskich ośrodków. Trzeba więc było dostać się na statek płynący do Władywostoku, gdzie zaczynała się linia kolejowa. Tam dostawaliśmy bilety na podróż do wybranych miejsc. Ale nie wiedzieliśmy, dokąd mamy jechać. Poza tym niektóre miasta były dla nas zamknięte, na przykład Moskwa. Wybraliśmy więc Omsk. Wydawało nam się, że jest to dostatecznie daleko na zachód. I okazało się, że rzeczywiście stamtąd można było dotrzeć na południe. Z Kołymy wyjechałem 12 października 1941 r., a mundur wojskowy mogłem włożyć dopiero w końcu marca 1942 r. Nie zdążyłem odbyć dwutygodniowej kwarantanny, gdy – wraz z pierwszą grupą żołnierzy – wyjechałem do Persji. Dopiero kiedy wylądowaliśmy na plaży w Pahlewi, poczuliśmy ulgę, że koszmar został na drugim brzegu. Z Persji pojechaliśmy bezpośrednio do Palestyny, gdzie tworzyła się Dywizja Strzelców Karpackich. Byłem w 2. Brygadzie, która po krótkim pobycie w Palestynie została wysłana na ćwiczenia wysokogórskie do Syrii, ponieważ cały nasz korpus przygotowywano do inwazji na Grecję.

Trafił Pan jednak do Włoch, między innymi pod Monte Cassino. Z dowodzonego przez Pana ośrodka łączności nadana została pierwsza informacja o zdobyciu wzgórza.



Były Prezydent RP Ryszard Kaczorowski





– Pierwszy meldunek nadał z klasztornych gruzów dowódca 5. batalionu łączności por. Dobrowolski. Mój wąż łączyłności był pierwszym, który rozpowszechnił tę wiadomość o zwycięstwie.

Po wojnie, w 1946 r. znalazł się Pan w Anglii.

– Wcześniej, jeszcze we Włoszech, rozpocząłem kurs maturalny w liceum 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Przed jego ukończeniem skierowano nas do Anglii, do hrabstwa Norfolk, do dawnej bazy lotnictwa amerykańskiego. W 1947 r. zdałem maturę i następnie rozpocząłem studia w Szkole Handlu Zagranicznego.

Wielu Pańskich współtowarzyszy podejmowało wówczas decyzje o powrocie do kraju...

– To były bardzo trudne decyzje, szczególnie dla tych, którzy pozostawili w kraju żony, dzieci. Moi rodzice byli już w podeszłym wieku, a ja nie wiedziałem nawet, czy zdołali wrócić do Polski z Syberii. Moja decyzja o pozostaniu była więc dla mnie oczywista. Tak postąpiła zresztą większość żołnierzy II Korpusu.

Byliście w kraju, którego nie znaliście...

– Nie znaliśmy ani języka, ani obyczajów, nie wiedzieliśmy w ogóle, co nas czeka. Niepewność była ogromna. Zaproponowano nam wstąpienie do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, w ten sposób weszliśmy w skład armii brytyjskiej. Wcześniej Prezydent RP przeniósł nas wszystkich na bezterminowy urlop. W Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia były organizowane różne kursy, języka, zawodu. Korzystaliśmy z tego.

Czy łatwo było przystosować się do życia w obcym kraju?

– Myślę, że bardzo trudno. Szczególnie dla nas, ludzi z „innego świata”. W Anglii panowały zupełnie inne zwyczaje, inny sposób życia, oczywiście standard życia również był wyższy. Dookoła wszyscy byli dosyć zamożni, a my byliśmy biedakami, którzy dopiero rozpoczynali normalne życie. Poza tym ogarniała nas nostalgia, niepewność o pozostawionych w kraju członków rodzin. To wszystko nie stwarzało najlepszej atmosfery, ale jakoś sobie radziliśmy. Każdy musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego zostaje, co chce robić. Ponieważ byłem instruktorem harcerskim, zacząłem zajmować się młodzieżą, która się znalazła na ziemi brytyjskiej, docierając tam z obozów dla rodzin, mieszczących się w Afryce, w Indiach. Rozpoczęliśmy organizowanie drużyn harcerskich, które działają do dziś. Udało mi się dostać pracę, zapewnić materialne podstawy życia, potem założyć rodzinę, znaleźć dach nad głową. Dużym wysiłkiem, odmawianiem sobie wielu rzeczy, doprowadziliśmy do tego, że mieliśmy własne domy. Potem przyszły dzieci, którymi trzeba się było zająć. Przyzwyczajaliśmy się do nowego życia, pamiętając, że mamy pewne obowiązki wobec kraju. Ideologicznie mówiąc, komentowaliśmy dla obcych to, co działo się w Polsce.

Jakie były te wieści, docierające z kraju?

– Nie byliśmy od Polski tak zupełnie odcięci. Zresztą większość z nas, po przejściu przez Sowiety, znała już system, który próbowano Polsce narzucić. Poznaliśmy przecież pierwszą sowiecką okupację na ziemiach wschodnich po 17 września 1939 r. To była lekcja, której nie zapomnieliśmy.

Czy ta powojenna emigracja polska „trzymała się razem”?

– Przyjaźnie, które zawieraliśmy na polu walki, trwały przez wiele, wiele lat. Byliśmy więc zwartą grupą. Zaczęliśmy tworzyć własne organizacje. Pierwszy był Instytut i Muzeum gen. Władysława Sikorskiego, gdzie zostały złożone wszystkie sztandary i dokumentacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Potem powstawały inne. Ogromną rolę odegrały polskie kościoły, przy których gromadzili się Polacy. Dzięki temu zachowali polskość i wiarę. Gdyby tych kościołów tam nie było, gdybyśmy się nie gromadzili w polskich parafiach, musielibyśmy przejść do parafii angielskich. Byłoby to zatracenie naszego wyraźnego, narodowego, polskiego rysu.

Czy znając siłę sowieckiego systemu, wierzyliście przez tyle lat w możliwość jego upadku?

– Główną myślą pozostania na emigracji było to, że imperia nie trwają wiecznie. Że również „imperium zła” się kiedyś rozpadnie. Nie bez podstaw liczyliśmy na konflikt Zachodu ze Wschodem. Stalin przecież przygotowywał się do takiej ewentualności. Zachód nie był przygotowany, by taką wojnę zacząć, natomiast gdyby został zaatakowany – oczywiście broniłby się.

To była bardzo silna nadzieja...

– Ponieważ jeszcze przez kilka lat po wojnie byliśmy stosunkowo sprawnym wojskiem, to można było liczyć, że na wypadek wojny będziemy mogli odtworzyć Polskie Siły Zbrojne. Lata mijały, rosło nowe pokolenie, ale sytuacja w świecie była ciągle dosyć napięta. To dawało nam nadzieję, że w końcu w Polsce coś się zmieni. Wszystkie oznaki rozluźnienia systemu w kraju przyjmowaliśmy z radością. Wiedzieliśmy, że każdy krok w kierunku poszerzenia w Polsce marginesu wolności pozwoli narodowi na dalsze przetrwanie biedy, nieszczęścia.

Ale co parę lat słyszeliście też, że w Polsce do własnych obywateli się strzela na ulicach.

– Takie zachowania tego systemu nie były dla nas nowością. Nagłaśnialiśmy to gdzie tylko można było, żeby ludzie na Zachodzie zdawali sobie sprawę, co im grozi, gdyby ten system zapanował u nich. Organizowaliśmy protesty przeciwko takiemu traktowaniu Polaków, informowaliśmy o tym rządy państw innych krajów.

Czy pręt „Solidarności” został odebrany jako zapowiedź złamania systemu komunistycznego w Polsce?



– Takich momentów było więcej. Pierwszym był Październik 1956 r. Wielu uznało to za duży krok ku wolności. Ale – jak wiadomo – Gomułka szybko tę nadzieję zgasił. Inny moment to strajk w Stoczni Gdańskiej, a potem – stan wojenny. Trzeba tu powiedzieć o ogromnym poparciu Polaków z całego świata dla „Solidarności”, o którym się dzisiaj nie mówi. Na dwudziestolecie „Solidarności” nie zaproszono tych, którzy organizowali wówczas pomoc dla kraju i związku. Ten entuzjazm i pomoc Polaków spoza kraju jest nie do przecenienia. Kiedy w stanie wojennym zduszono „Solidarność” i wysłano do więzień działaczy, wtedy wszystkimi możliwymi drogami szła do kraju pomoc emigracji. To były ogromne liczby transportów: środków medycznych, żywności.

W 1986 r. – będąc już na emeryturze – wszedł Pan w skład rządu londyńskiego, najpierw jako minister, a potem w 1989 r., po śmierci Prezydenta Kazimierza Sabbata, jako jego następcą. Co Pan wtedy czuł? Był Pan prezydentem zniewolonego państwa. To przecież była funkcja – w zasadzie – symboliczna.

– Symbolika odegrała w dziejach naszego narodu ogromną rolę. Nie po raz pierwszy ta symbolika była wykorzystana w walce o niepodległość. Marszałek Piłsudski w swojej pracy o powstaniu styczniowym podkreślał, i sam potem używał tego argumentu, że niezależnie od tego, kto państwem włada, źródłem siły jest rząd narodowy, który włada duszami. Z takiej pozycji wychodziliśmy, uważając, że zachowanie legalizmu, cele wojenne, do których Polska została zmuszona przystąpić, nie zostały osiągnięte. Nasza postawa trwania to była bezwzględna walka o przyszłość Polski.

W 1991 r. w Białymstoku Ojciec Święty Jan Paweł II składał w Pańskie ręce podziękowania rządowi londyńskiemu za „przechowanie suwerenności Rzeczypospolitej”...

– To była dla nas największa nagroda. Powiedział to najwyższy autorytet moralny w świecie.

Przez tyle lat życia na emigracji można było chyba jednak stracić nadzieję na odzyskanie tej suwerenności?

– To chyba wyjątkowy w historii wypadek – przez tyle lat przetrwaliśmy w trudnych sytuacjach jako zespół ludzi oddanych sprawie. Były oczywiście między nami różnice, które jednak nie dotyczyły głównego celu, jakim była wolność i niepodległość Polski.

Przekazanie insygniów II Rzeczypospolitej w ręce nowo wybranego prezydenta Lecha Wałęsy w 1989 r. stało się symbolicznym dopełnieniem procesu odzyskiwania suwerenności kraju...

– To było zakończenie naszych działań. W ręce Narodu, w osobie przedstawiciela tego Narodu, wybranego w wolnych wyborach prezydenta Lecha Wałęsy, mogliśmy złożyć insygnia wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej, dla dalszego rozszerzania tej suwerenności.

Musiał Pan mieć prawdziwą satysfakcję z tego, że to właśnie Panu przyszło pełnić urząd Prezydenta RP w takiej chwili?

– To nie była tylko moja osobista satysfakcja, ale nas wszystkich. Tak się złożyło, że Opatrzność wyznaczyła mnie wówczas na to miejsce, ale przecież z równym powodzeniem mógłby to być mój poprzednik, który niestety zmarł przedwcześnie, pełniąc urząd.

W krakowskim oddziale IPN złożył Pan wniosek o dostęp do dokumentów gromadzonych na Pański temat przez służby specjalne PRL. Czego chciałby się Pan dowiedzieć?

– Złożyłem go z nadzieją, że niczego tam nie będzie.

Jak odbiera Pan powstanie Instytutu Pamięci Narodowej i jego rolę w wolnej Polsce?

– Myślę, że jest to instytucja bardzo potrzebna i jednocześnie spóźniona o co najmniej dziesięć lat. Powinna powstać wcześniej. Wówczas więcej można byłoby zrobić. Składając wniosek o udostępnienie tych dokumentów, kierowałem się nie tylko osobistymi względami, ale i całego obozu niepodległościowego, chcąc dowiedzieć się, w jakim stopniu ten obóz był infiltrowany, w jaki sposób. Wiedzieliśmy, że takie fakty musiały mieć miejsce, bo znaleźliśmy naszego przeciwnika. Wiedzieliśmy, że są podejmowane działania dla przeszkodzenia w naszej pracy, więc niemal wszystko, co robiliśmy, było jawne. Chodziło o to, by nie stwarzać okazji i powodów, by kogoś można było zaszantażować. A to, co chcieliśmy zachować w tajemnicy, nie wyszło na jaw. Jestem o tym przekonany.

Propaganda w kraju robiła wszystko, by zdyskredytować w społeczeństwie członków rządu londyńskiego. Ale podejmowała zapewne również działania destruktcyjne. Czy były one zauważalne?

– Najprostszą metodą dyskredytacji było wyśmiewanie nas. Ale nie tylko. Przecież w początkach naszej działalności emigracyjnej premier rządu Hugon Hanke okazał się agentem służb specjalnych. Nie wiemy, czy został agentem po przyjeździe do Polski, czy był nim na emigracji. Nie mieliśmy możliwości, by to sprawdzić. Potem byli jeszcze inni, którzy się przyznawali. Jeśli idzie o mój życiorys, kilka lat temu otrzymałem kopię protokołu sporządzonego w Mińsku bądź w Białymstoku przez człowieka, który w 1940 r. ujawnił NKWD moje nazwisko. W ten sposób dowiedziałem się – to była ogromna satysfakcja – że nie zrobił tego nikt z moich przyjaciół. Tą osobą był kurier, który towarzyszył Lechostawowi Domańskiemu, wysłannikowi Kwatery Głównej Szarych Szeregów do Wilna. Został wówczas złapany na granicy niemiecko-sowieckiej. Myśmymy zresztą po aresztowaniu nie zaprzeczali, że byliśmy członkami harcerstwa, przedstawialiśmy się jako ludzie w dalszym ciągu wierni Polsce. Organizatorem tajnego harcerstwa w Białymstoku był Marian Dakowicz. Ten człowiek – po naszym aresztowaniu – wziął na siebie główny ciężar i przypuszczam, że jako najstarszego, rozstrzelano go. Nigdzie potem nie znalazłem nikogo, kto by gdzieś go spotkał.

Czy przez 50 lat, od momentu, kiedy wojna wyrwała Pana z domu rodzinnego, nigdy nie wątpił Pan w słuszność podejmowanych decyzji? Cela śmierci, zesłanie, emigracja, każde z tych przeżyć mogłoby zmusić wielu do rezygnacji...

– Cela śmierci jest doświadczeniem, które utwierdza człowieka w przekonaniu, że jest na właściwej drodze. Kiedy prowadzono mnie w Mińsku do sądu i zobaczyłem, że wejście obsadził pluton NKWD, dopiero zdałem sobie sprawę z wagi, którą oni przywiązywali do nas. A my – prawie nadzy, zbiedzeni po różnych torturach... Myślę, że nigdy nie straciłem wiary, iż to, co robię, jest słuszne i potrzebne.



Ryszard Kaczorowski urodził się 26 listopada 1919 r. w Białymstoku, gdzie ukończył szkołę handlową. W Londynie ukończył w 1949 r. Szkołę Handlu Zagranicznego. Pod okupacją sowiecką działał w Szarych Szeregach (konspiracyjne ZHP). W czerwcu 1940 r. objął funkcję komendanta białostockiej Chorągwi Szarych Szeregów. Aresztowany przez NKWD 17 lipca 1940 r., więziony był w Białymstoku i Mińsku. 1 lutego 1941 r. został skazany na karę śmierci przez Najwyższy Sąd Białoruskiej Repu-

bliki Sowieckiej. Po stu dniach w celi śmierci wyrok zamieniono na dziesięć lat łagrów. Został zesłany na Kołymę.

Zwolniony z łagrów, w marcu 1942 r. wstąpił do Armii Polskiej w ZSRR i jako żołnierz 2. Korpusu, w batalionie łączności 3. Dywizji Strzelców Karpackich odbył kampanię włoską, walcząc między innymi pod Monte Cassino.

W 1967 r. Naczelna Rada Harcerska wybrała go na Przewodniczącą ZHP na Obczyźnie.

W marcu 1986 r. został powołany do Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej jako nominat Prezydenta RP oraz do Rządu RP na Uchodźstwie. W gabinecie premiera prof. Edwarda Szczepanika był ministrem spraw krajowych. Na tym stanowisku rozwinął wszechstronne kontakty z działaczami opozycji w kraju. 19 lipca 1989 r. objął urząd Prezydenta RP. 22 grudnia 1990 r. przekazał insygnia władzy prezydenckiej Lechowi Wałęsie, pierwszemu prezydentowi wybranemu w wolnych wyborach.

Prezydent Ryszard Kaczorowski jest honorowym obywatelem Białegostoku i wielu miast polskich. Jest także doktorem honoris causa czterech polskich uczelni, między innymi Uniwersytetu Wrocławskiego, Akademii Medycznej w Białymstoku.

Ryszard Kaczorowski, z tytułu pełnionej funkcji Wielkiego Mistrza Orderu Orła Białego i Orderu Odrodzenia Polski (Wielka Wstęga Orderu Odrodzenia Polski), jest Kawalerem tych Orderów.

Mieszka w Londynie z żoną Karoliną, z którą ma dwie zamężne córki.

DEPORTACJE LUDNOŚCI CYWILNEJ Z BIAŁOSTOCZYZNY

Od 20 grudnia 2000 r. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku prowadzi śledztwo w sprawie przesiedleń ludności cywilnej okupowanej Białostoczczyzny do Związku Radzieckiego w okresie od 17 września 1939 r. do 21 czerwca 1941 r. Celem śledztwa, obok wyjaśnienia wszystkich okoliczności wywózek, jest także ustalenie osób, które je organizowały, oraz sporządzenie listy pokrzywdzonych. Akta sprawy liczą 72 tomy. Przesłuchano już około 2650 świadków.

Po sowieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 r. Rada Komisarzy Ludowych ZSRR już 5 grudnia podjęła decyzję o wysiedleniu w inkorporowanych ziem wschodnich Rzeczypospolitej osadników i służby leśnej jako potencjalnych „dywersantów”. Decyzję zaakceptowało Biuro Polityczne WKP(b). Pierwsze aresztowania rozpoczęły się o świcie 10 lutego 1940 r. Według danych NKWD zesłano na Syberię prawie 140 tys. osadników i leśników wraz rodzinami.

Decyzja o kolejnej wywózce została podjęta 3 marca 1940 r. 13 kwietnia na dziesięcioletnie zesłanie zaczęto wywozić do Kazachstanu przede wszystkim rodziny osób represjonowanych przez NKWD. Podczas trwającej do maja 1940 r. akcji zesłano około 61 tys. osób.

Trzecia wywózka miała być dokończeniem poprzedniej. Rozpoczęła się 29 czerwca 1940 r. Na Syberię wywieziono wówczas około 25 tys. rodzin, czyli prawie 78 tys. osób.

Ostatni przed wojną niemiecko-sowiecką etap wywózek rozpoczął się w nocy z 21 na 22 maja 1941 r., kiedy to z tak zwanej Zachodniej Ukrainy wywieziono 12 371 osób. Łącznie w czasie tej wywózki, mimo trwającej już wojny, deportowano na Wschód jeszcze około 90 tys. osób, w tym między innymi ponad 22 tys. wysiedleńców z zachodnich obwodów BSRS oraz około 10 tys. osób różnej narodowości z Wileńszczyzny. Tylko do lata 1941 r. na zesłaniu zmarło co najmniej kilkanaście tysięcy osób.¹

Relację jednego z wysiedlonych publikujemy w dziale „Relacje i Wspomnienia” niniejszego Biuletynu.

¹ (Oprac. na podst. A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1941*, Łódź 1997).

POLACY W MANDŻURII

W końcu XIX wieku, podczas budowy przez carską Rosję Kolei Wschodniochińskiej, pojawili się w Mandżurii polscy uchodźcy – społeczność silnie akcentująca swą odrębność narodową, religijną i kulturową. W okresie międzywojennym niewielka Polonia (licząca w 1938 r. około 1500 osób) utrzymywała ożywione kontakty z daleką ojczyzną i wobec odrodzonej w 1918 r. państwowości polskiej manifestowała lojalną postawę obywatelską.

Życie dalekowschodniego wychodźstwa ogniskowało się w tym czasie przede wszystkim w Harbinie – głównym ośrodku miejskim północnej Mandżurii, stolicy dawnej eksterytorialnej strefy Kolei Wschodniochińskiej. Zorganizowaną działalność Polonii animowały przede wszystkim trzy instytucje: Kościół (dwie parafie: św. Stanisława i św. Jozafata), świeckie stowarzyszenie społeczno-kulturalne „Gospoda Polska” oraz Konsulat RP (od 1939 r. Konsulat Generalny RP).

Przy „Gospodzie Polskiej” jako autonomiczne sekcje rozwinęły działalność organizacje i koła. W 1938 r. były to: Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), Polski Związek Automobilistów (PZA), Związek Pracowników Kolejowych, Koło Miłośników Sceny Polskiej, Polski Związek Sportowy oraz Polskie Towarzystwo Dobroczynności.

W mieście działało także polskie szkolnictwo stopnia powszechnego i średniego, a przy nim drużyny zuchowe i harcerskie. Dzieci i młodzież nauczano według programów szkolnych obowiązujących w kraju, za zgodą polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego częściowo dostosowanych do realiów dalekowschodnich (nauka języków chińskiego i japońskiego, historii oraz elementów kultury krajów Dalekiego Wschodu). Świadectwa dojrzałości otrzymywane w gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Harbinie uprawniały tamtejszych maturzystów do wstępu na wyższe uczelnie w Polsce, z czego, mimo trudności finansowych, korzystało co roku przynajmniej kilka osób.

Wybuch drugiej wojny światowej i dramatyczne informacje o sytuacji w kraju spowodowały wzrost nastrojów patriotycznych wśród mandżurskiej Polonii i dały impuls do konkretnych działań. Już w listopadzie 1939 r. zorganizowano wysyłkę paczek żywnościowych i odzieżowych dla żołnierzy Wojska Polskiego internowanych na terenie Litwy, Łotwy i Rumunii oraz jeńców wojennych przebywających w obozach w Niemczech. Ponadto do Konsulatu Generalnego RP w Harbinie zaczęły zgłaszać się osoby deklarujące gotowość wyjazdu do Europy po to, by wstąpić w szeregi tworzącej się we Francji armii polskiej. W krótkim czasie deklarację taką złożyła prawie cała młodzież męska (ponad 100 osób) z Harbina i innych miejscowości Mandżurii. Zorganizowanie podróży morskiej dla tak dużej grupy przekraczało jednak wspólne możliwości finansowe harbińskiego konsulatu, Poselstwa Polskiego w Szanghaju i Ambasady RP w Tokio. Liczono się także z faktem, że na realizację tak spektakularnego (choćby pod względem propagandowym) przedsięwzięcia, jakim był przerzut do Europy ponad 100 ochotników z Dalekiego Wschodu, nie wyraziłyby zgody proniemiecko nastawione władze mandżursko-japońskie. Zdecydowano zatem, że na wojnę wyruszy tylko niewielka grupa. Wybrano dwunastu ochotników, którym

opłacono podróż morską z Szanghaju do Europy z funduszy pochodzących głównie ze zbiórki zorganizowanej wśród kolonii polskiej w Harbinie. Do młodzieży dołączył wicekonsul i jeden z urzędników harbińskiego konsulatu. Po kilku tygodniach rejsu wyprawa dotarła do Bejrutu, gdzie wszyscy jej członkowie wstąpili do Brygady Strzelców Karpackich. Po kampanii libijskiej część ochotników przeszła do służby w Polskich Siłach Powietrznych i Marynarce Wojennej w Wielkiej Brytanii. Pozostali walczyli we Włoszech w szeregach II Korpusu gen. Władysława Andersa.

Sytuacja Polaków mieszkających w Mandżurii uległa wyraźnemu pogorszeniu w grudniu 1941 r., po podjęciu przez Japonię działań wojennych przeciwko Stanom Zjednoczonym. Na skutek przerwania międzynarodowej komunikacji pocztowej przestały docierać do nich informacje z kraju oraz polskich ośrodków decyzyjnych w Londynie. Władze mandżursko-japońskie zlikwidowały Konsulat Generalny RP w Harbinie, jako placówkę państwa znajdującego się *de iure* w stanie wojny z Nipponem i jego kontynentalnym wasalem, czyli Mandżukuo. Społeczność polską, podobnie jak innych cudzoziemców zamieszkałych w granicach tego tworu państwowego, poddano różnego rodzaju szykanom. Jedną z nich był obowiązek noszenia na ubraniach specjalnych znaczków z wybitym numerem identyfikacyjnym danej osoby i hieroglifami oznaczającymi jej przynależność państwową.

Przetrawanie w warunkach kompletnej izolacji od świata zewnętrznego i wciąż pogarszającej się sytuacji materialnej było możliwe tylko dzięki dobrze wykształconemu, sprawdzonemu przez lata, wewnętrznemu systemowi organizacyjnemu. Mimo stanu wojny władze mandżursko-japońskie zezwoliły na funkcjonowanie większości instytucji, organizacji i stowarzyszeń polonijnych. Nadal działały także obie parafie.

„Gospoda Polska”, jak dawniej, organizowała obchody rocznic narodowych oraz imprezy o charakterze kulturalno-oświatowym i towarzyskim. Gmach stowarzyszenia był dla wielu osób drugim domem, w którym odbywały się „herbatki”, wieczory muzyczne i taneczne oraz akademie rocznicowe. W 1944 r. młodzieżowe Kółko Dramatyczne ZMP wystawiło dwanaście przedstawień. Niektóre z inscenizacji angażowały ponad 50 osób (chór, orkiestra, zespół baletowy). „W sali widowiskowej – wspomina jedna z harbinianek – prócz imprez odbywały się koncerty i przedstawienia. Scena, garderoba, dekoracje – z prawdziwego zdarzenia, normalny teatr, w kufrach piękne kostiumy (kontusze, mundury wojskowe z różnych epok). Sala widowiskowa przypominała salę zamkową. Wzdłuż ścian były fachowo wykonane portrety wielkich Polaków [...] Poza tym tylko żyrandole, kinkiety nad portretami, nic więcej [...] Świetlica młodzieżowa była urządzona nowocześnie, na kominku pełno było pucharów i nagród sportowych, zdobytych przez polskie drużyny hokejowe oraz piłki nożnej. Drużyny polskie »Polonia« oraz »Ryś« były znane na Dalekim Wschodzie”. Członkowie harbińskiej kolonii mogli również korzystać ze świetnie uprządkowanej i skatalogowanej biblioteki „Gospody”, której zbiory w początku lat czterdziestych liczyły 5300 tomów. Nadal funkcjonowały ZMP, Polskie Towarzystwo Dobroczynności, PZA i Związek Pracowników Kolejowych.

Jeszcze w grudniu 1941 r. dalekowschodnim Polakom udało się stworzyć organ przedstawicielski – Polski Komitet Opiekuńczy w Harbinie (PKO). Instytucja ta, w której skład weszli najwybitniejsi przedstawiciele kolonii harbińskiej, przejęła zadania zlikwidowanego konsulatu. Komitet dość sprawnie rozwiązywał bieżące problemy społeczności polonijnej, a dzięki konsekwentnej i stanowczej obronie jej interesów przed władzami mandżursko-japońskimi doprowadził do tego, że jej członkowie bez większych wstrząsów doczekali końca wojny. Kiedy więc w sierpniu 1945 r. Mandżuria znalazła się pod kontrolą Armii Czer-

wonej, PKO roztaczał opiekę nad 1308 osobami, z czego 1017 przebywało w Harbinie, 28 w Dairenie, a pozostałe 263 w mniejszych miejscowościach i osadach położonych wzdłuż linii dawnej Kolei Wschodniochińskiej. W tym czasie społeczność polska była drugą po Rosjanach najliczniejszą kolonią cudzoziemską w Harbinie.

Napływające do Mandżurii sprzeczne informacje na temat sytuacji politycznej w Polsce spowodowały pewną dezorientację w środowisku polonijnym. PKO postanowił utrzymać dotychczasowe kierownictwo nad sprawami Polonii, aż do momentu złożenia go na ręce przybyłego do Harbina przedstawiciela władz polskich. Jednocześnie, za pośrednictwem ambasady polskiej w Moskwie, wystosował do nich depezę, w której prosił o przystanie do Harbina pełnomocnika rządu, a do czasu jego przyjazdu o udzielenie komitetowi odpowiednich wytycznych i instrukcji. Z kraju jednak nie nadeszła odpowiedź.

Po opanowaniu terytorium Mandżurii przez wojska radzieckie w środowisku polonijnym zaktywizowała się niewielka grupa osób – byłych członków SDKPiL i KPP. Zebrał ich wokół siebie Kazimierz Krąkowski – przedwojenny działacz komunistyczny, współpracujący z radzieckimi służbami specjalnymi. Określającą się mianem „postępowców” grupa szybko nawiązała kontakty z władzami wojskowymi i Konsulatem Generalnym ZSRR w Harbinie oraz z komunistami chińskimi (ci ostatni przejęli kontrolę nad Mandżurią w 1946 r., po wycofaniu się stamtąd Armii Czerwonej). Krąkowski, za przyzwoleniem władz radzieckich, zaczął wydawać „Biuletyn Informacyjny dla Polaków”, wykorzystując dostarczane przez nie materiały propagandowe. Wówczas było to jedyne wychodzące w Mandżurii pismo polskojęzyczne. Agitowano w nim przede wszystkim za hasłami Manifestu PKWN i opowiadano się za bezwzględnym powrotem do kraju wszystkich mandżurskich Polaków. Dla realizacji tego przedsięwzięcia „postępowcy” próbowali za pośrednictwem ambasady polskiej w Moskwie skontaktować się z władzami warszawskimi. Te jednak długo pozostawały głuche na apele i zapewnienia o wierności całej mandżurskiej Polonii „nowej, demokratycznej Polsce”. Innym posunięciem Krąkowskiego było rozwiązanie PKO. Lider „postępowców” dowodził, że instytucja, która powstała za przyzwoleniem władz japońskich, nie może reprezentować Polonii w nowych, powojennych warunkach. Pomysł rozwiązania komitetu najprawdopodobniej wyszedł od radzieckich służb bezpieczeństwa, a Krąkowski był tylko jego wykonawcą. W obecności przedstawiciela radzieckiej komendantury wojskowej odbył się wiec, na którym „postępowcy” agitowali za utworzeniem w miejsce PKO Rady Narodowej Polaków w Mandżurii. Miał to być jedyny organ uprawniony do reprezentowania Polonii na zewnątrz. Wybory do nowego ciała przedstawicielskiego nie przebiegały jednak tak, jak życzyli sobie tego ludzie Krąkowskiego. Ich plany pokrzyżował duchowy przywódca kolonii harbińskiej – proboszcz parafii św. Stanisława, ks. kanonik Paweł Chodniewicz. Krąkowski słusznie uważał go za trudnego przeciwnika. Nosił się nawet z zamiarem „odizolowania siłą” proboszcza od reszty Polonii. Mieli tego dokonać chińscy komuniści. Ostatecznie jednak zrezygnował z tego pomysłu, zdając sobie sprawę, że akcja taka zniechęciłaby tylko społeczność polską.

Tymczasem ks. Chodniewicz zorganizował prężną akcję przedwyborczą, podczas której nawoływał do głosowania na ludzi sprawdzonych, nie związanych z Krąkowskim. Tych ostatnich określał mianem uzurpatorów, którzy mając poparcie radzieckich władz okupacyjnych, forsują nieodpowiedzialny program jak najszybszego wyjazdu do Polski. Według ks. Chodniewicza sytuacja w kraju nie była jeszcze do końca wyjaśniona i mogła ulec zmianie, a struktury państwowości formowane przez komunistów były tworem marionetkowym, całkowicie zależnym od Moskwy. Argumenty te przekonały zdecydowaną większość Polonii, która



Kolonia polska w Harbinie podczas uroczystości Bożego Ciała, lata trzydzieste XX wieku (ze zbiorów Wandy Zielińskiej)

do Rady Narodowej wybrała ludzi uczciwych i odznaczających się patriotyczną postawą. „Postępowcy” znaleźli się w mniejszości, zajmując tylko trzy z jedenastu miejsc w Radzie. Na znak protestu zrezygnowali z przyjęcia powierzonych im funkcji. Władze radzieckie, choć niechętnie, zaakceptowały wynik wyborów, nakazały jednak zmianę nazwy ciała przedstawicielskiego, tłumacząc, że Radą Narodową będzie można nazwać jedynie organ przedstawicielski, którego skład osobowy zatwierdzi rząd warszawski. W ten sposób nowa instytucja zaczęła funkcjonować jako Polski Komitet Obywatelski na Mandżurię (PKOb.).

Od momentu przegranej we wrześniowych wyborach grupa Krąkowskiego rozpoczęła kampanię propagandową przeciwko przedstawicielom PKOb. Prowadzono ją między innymi na łamach wspomnianego już biuletynu, zastąpionego w grudniu 1945 r. redagowanym przez Krąkowskiego tygodnikiem „Ojczyzna”. Oficjalnym wydawcą pisma była Grupa Polskiej Inteligencji Postępowej. Nie była ona jeszcze strukturą ściśle zorganizowaną, a raczej grupą osób o podobnych poglądach społecznych i politycznych. Materiały do tygodnika czerpano głównie z prasy radzieckiej. Rzadko wykorzystywano także pojedyncze egzemplarze „Wolnej Polski” – organu Związku Patriotów Polskich w Moskwie. Warto dodać, że zawartość trzech pierwszych numerów „Ojczyzny” stanowiły artykuły przedrukowane z „Gazety Lubelskiej”, której jeden egzemplarz trafił do Harbina jako papier pakowy w bagażu radzieckiego oficera.

Rok 1946 upływał na ciągłych konfliktach „postępowców” z ich ideologicznymi przeciwnikami. Ci pierwsi zaczęli jednak ugruntowywać swoją pozycję w środowisku polonijnym. W lipcu utworzyli organizację w ścisłym tego słowa znaczeniu, pod nazwą Polska Grupa

Postępowa (PGP), do której akces, jak to określił Krąkowski, zgłosiło „szersze grono osób”. W zorganizowanych przez PGP obchodach drugiej rocznicy Manifestu Lipcowego wzięto udział około dwustu osób, pomimo że ks. Chodniewicz nawoływał do bojkotu imprezy, tłumacząc, iż jest to święto „bolszewickie”. Innym przejawem rozprzestrzeniania się w środowisku polonijnym hasła lansowanego przez „postępowców” był fakt, że w trakcie prowadzonej przez nich nieoficjalnej rejestracji mandżuraków zdecydowanych na wyjazd do kraju zgłosiło się około 60 osób. Tymczasem Komitet Obywatelski uprzedzał społeczność polonijną przed, jak to określał, „niepożądanymi następstwami samowolnej akcji”, za jaką uważał pośpieszną repatriację. Przestrzegał również przed artykułami „prywatnego tygodnika poruszającego wewnętrzne sprawy Kolonii Polskiej”, które zdaniem komitetu były „jawnie skierowane do rozbitcia jedności Kolonii i wywołania rozdźwięku społeczno-go”. Dysponując strzępkami informacji o faktycznej sytuacji w Polsce, przeciwnicy PGP nawoływali do wyjazdu z Harbina w kierunku południowym, do takich ośrodków jak Tientsin, Szanghaj lub Hongkong, by stamtąd udać się do dowolnie wybranego kraju. Krąkowski zwalczał tę agitację, oskarżając PKOb. o dezorientowanie i sianie zwątpienia wśród ludzi.

W marcu 1947 r. PGP wysłała do ambasady polskiej w Moskwie pismo, w którym zaproponowała przekazanie opieki nad Polonią mandżurską Konsulatowi Generalnemu ZSRR w Harbinie. Autorzy listu uzasadniali swoją propozycję tym, że skoro „Rząd RP utrzymuje oficjalne stosunki z rządem nankińskim [kuomintangowskim], nie może przysłać swego przedstawiciela na terytorium zajęte przez demokratyczny rząd chiński, z którym nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych [...] przeto opieka nad obywatelami polskimi [...] powinna byłaby [...] być przekazana przez Rząd RP jednemu z istniejących na tym terytorium obcych przedstawicielstw, to jest Gen. Konsulatowi ZSRR w Harbinie”. Na szczęście pomysł ten nie został zrealizowany.

Nie mogąc zdobyć przewagi nad przeciwnikami zasiadającymi w PKOb. za pomocą legalnych metod, „postępowcy” postanowili rozwiązać komitet, a przy okazji przejąć kontrolę nad stowarzyszeniem „Gospoda Polska” i działającym przy nim Związkiem Młodzieży Polskiej. Powstała w latach dwudziestych organizacja skupiała najbardziej ideowych przedstawicieli mandżurskiej młodzieży – osoby pracujące oraz studentów harbińskich wyższych uczelni. Pretekstem do rozprawienia się z „reakcjonistami” stało się uczestnictwo w jednej z imprez organizowanych przez „Gospodę Polską” członka Polonii, który po wybuchu drugiej wojny światowej rzekł się obywatelstwa polskiego i w konsulacie niemieckim w Harbinie poprosił o paszport. Od tego momentu separował się od społeczności polskiej, twierdząc, że jest Niemcem. Sytuacja zmieniła się po sierpniu 1945 r. – wówczas znów poczuł się Polakiem. Krąkowski wykorzystał jego udział w imprezie, na której obecni byli przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego i zarządu „Gospody”. Najpierw doprowadził do aresztowania folksdojca, a następnie do zamknięcia przez miejscowe władze chińskie Komitetu Obywatelskiego i „Gospody Polskiej”, jako organizacji, do których władze te „nie mogły mieć zaufania”. 14 lipca 1947 r., trzy dni po tych wydarzeniach, powstało nowe ciało przedstawicielskie, tym razem bardziej podatne na wpływy PGP. Tymczasowy Polski Komitet na Mandżurię (TPK) składał się wprawdzie w większości z byłych członków Polskiego Komitetu Opiekuńczego, jednakże we wszystkich jego posiedzeniach uczestniczył Krąkowski. Przywódca PGP układał teksty komunikatów oraz pism wysyłanych przez TPK do Warszawy, występował także jako pełnomocnik komitetu wobec władz chińskich i Konsulatu Generalnego ZSRR w Harbinie.

Jedyną organizacją, która nadal opierała się „postępowcom”, był ZMP. Jedna z członkiń związku wspomina po latach, że przedstawiciele jego zarządu „urządzali burzliwe zebrania i wiece w obronie przedwojennej racji stanu. Jednak i z nimi sobie poradzono. Po jednym z takich burzliwych zebrań zarządu ZMP wszyscy awanturujący się otrzymali wypowiedzenia z ich miejsc pracy [...] Dowiedzieli się później, że pozbawienie ich pracy nastąpiło na polecenie Generalnego Konsulatu ZSRR, z aprobatą miejscowych komunistów chińskich. Skończyły się wolne dyskusje ideologiczne. Ludzie zaczęli się bać”. W miejsce rozwiązanego ZMP utworzono nowy, całkowicie podporządkowany „postępowcom”. Tym łatwiej było przyciągnąć młodzież na stronę PGP, że po drugiej stronie barykady zabrakło osób, które mogłyby ją skupić wokół siebie: ks. Chodniewicz późną jesienią 1947 r. przeżył atak apopleksji, w wyniku którego stracił władzę w nogach i od tego momentu nie brał już czynnego udziału w życiu harbińskiej kolonii i nie miał wpływu na rozgrywające się wydarzenia. Zmarł w Harbinie na początku 1949 r.

Po pokonaniu opozycji „postępowcy” mogli spokojnie przystąpić do realizacji lansowanych przez siebie haseł. Przede wszystkim rozpoczęto przygotowania do repatriacji. TPK przeprowadził rejestrację obywateli polskich zamieszkałych w Mandżurii. Na ogólną liczbę 1213 obywateli polskich zarejestrowanych przez komitet, chęć wyjazdu do Polski wyraziły 972 osoby.

W marcu 1948 r. nadeszła wreszcie do Harbina pierwsza od wielu lat prywatna korespondencja z kraju. Społeczność polonijna była tak złaknięta nowych wiadomości, że „Ojczyzna” za zgodą adresatów podała najciekawsze informacje zawarte w listach. Nie obeszło się przy tym bez manipulacji i fałszowania faktów. W jednym z listów znalazła się na przykład wiadomość o śmierci brata jednego z harbińskich księży, który zginął w czasie wojny, dowodząc oddziałem partyzanckim. Lapidarna notatka została opatrzona odpowiednim komentarzem redakcji: „musimy wyjaśnić – pisano – że do oddziałów partyzanckich wstępowali ci, którzy nie chcieli podporządkować się rozkazom rządu londyńskiego, zabraniającego swojej podziemnej Armii Krajowej wszelkich występów przeciwko Niemcom. Oddziały partyzanckie, skupiające w swoich szeregach najbardziej patriotyczne i rewolucyjne elementy, przeważnie chłopskie i robotnicze, i prowadzące skuteczną dywersję na tyłach wojsk hitlerowskich, były ostro zwalczane przez Armię Krajową”. Tego typu fałszywe informacje, połączone w umiejętny sposób z prawdziwymi faktami, „urabiały” ideologicznie nie mającą na ogół żadnego kryterium odniesienia Polonię.

W marcu 1949 r. przybył wreszcie do Harbina oficjalny przedstawiciel rządu warszawskiego – komandor Jerzy Kłossowski, którego zadaniem było zorganizowanie repatriacji do kraju. Po jego przyjeździe rozwiązano TPK, a na jego miejsce powołano do życia Obywatelski Komitet Repatriacyjny. Jedna z harbinianek wspomina po latach, że „zatajono natychmiast przed obywatelami polskimi propozycję pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla Polaków, chcących wyjechać do innych krajów zamiast do Polski. Odpowiedź na zapytania Czerwonego Krzyża zawsze była jednoznaczna: wszyscy Polacy bez wątpliwości pragną jechać do Ojczyzny”.

Termin wyjazdu wyznaczono optymistycznie na maj 1949 r. Okazało się to jednak nierealne, ponieważ trzeba było załatwić przed wyjazdem wiele spraw. Najwięcej czasu pochłaniały sprawy nieruchomości, zarówno prywatnych, jak i społecznych. Domki jednorodzinne należące do emerytów – byłych pracowników Kolei Wschodniochińskiej zamieszkałych w Harbinie – sprzedano Chińczykom, po cenie ustalonej przez mieszaną polsko-chińską komisję szacunkową. Polacy z innych miejscowości indywidualnie sprzedawali

swoje nieruchomości. Większość transakcji dotyczących majątku społecznego znajdującego się na terenie Harbina przeprowadzano w pośpiechu i niedbale. Gmachy „Gospody Polskiej” i gimnazjum im. H. Sienkiewicza sprzedano za bezcen lub oddano za darmo władzom chińskim. Wszystkie książki z bogatej biblioteki polskiej oraz część dokumentów archiwalnych spalono na stosie w ogrodzie okalającym budynek „Gospody”. „Ostatni akt Polonii przeżyliśmy ciężko – wspomina jedna z harbinianek – patrzyliśmy, jak na rozległym podwórzu Gospody wzniecone ognisko pochłaniało wszystko: archiwalne dokumenty, cenne polskie książki z olbrzymiej biblioteki, albumy, portrety. Długo jeszcze ogień pożerał opasłe tomy wierszy, całego Żeromskiego, Sienkiewicza, Prusa, Dąbrowską... Opuściliśmy flagę na budynku Gospody. Flaga ta wisiała długie lata, jeszcze przed naszym przyjściem na świat!”. Część gromadzonych latami eksponatów, należących do działającego w okresie międzywojennym przy „Gospodzie” Muzeum Wschodoznawczego, postanowiono przewieźć do Polski wraz z wybranymi materiałami archiwum polonijnego. Najcenniejsze dzieła sztuki przeznaczono na dary dla wysokich dostojników państwowych i partyjnych, między innymi dla prezydenta Bolesława Bieruta.

27 maja 1949 r. odbyło się ostatnie posiedzenie Polskiej Grupy Postępowej. Na wniosek Kłossowskiego przekształcono ją w Koło Sympatyków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Istniało do chwili rozpoczęcia repatriacji. W tym czasie odbyło kilka zebrań, podczas których jego członkowie głównie zaznajamiali się ze statutem PZPR.

Repatriacja przeprowadzona została ostatecznie w lipcu 1949 r. W trzech transportach kolejowych przyjechały do kraju, tranzytem przez ZSRR, 784 osoby.

Przybycie pierwszej grupy reemigrantów znalazło oddźwięk w artykułach prasy krajowej. Pisali o tym wydarzeniu największe dzienniki, takie jak: „Życie Warszawy”, „Ilustrowany Kurier Polski”, „Trybuna Ludu”. Artykuł o rodakach z Dalekiego Wschodu zamieściły „Przekrój” i „Trybuna Robotnicza”. Wszystkie pisma pobieżnie przypominały historię dalekowschodniej Polonii. Podkreślano, co nie było do końca prawdą, że większość jej członków to potomkowie syberyjskich zesłańców. Budowę Kolei Wschodniochińskiej i emigrację zarobkową stawiano na drugim miejscu. Pisano również, że powrót do Polski to inicjatywa samych mandżuraków, na którą natychmiast zareagował rząd polski, a zaprzyjaźnione z nim władze chińskie i radzieckie pomogły ją sfinalizować. Czytelnicy dowiadawali się o działalności mandżurskiej Polonii, o tym, że koncentrowała się ona głównie wokół pisma „Ojczyzna”, PGP i „reformowanego” przez Krąkowskiego ZMP. Z artykułów wynikało, że dopiero wydarzenia drugiej wojny światowej i wiadomości o zmianach ustrojowych w Polsce zaktywizowały bierną dotąd kolonię polską w Harbinie. Nie wspomniano prawie wcale o bogactwie życia kulturalnego, oświatowego i społecznego tamtejszego wychodźstwa do 1945 r.

Reemigranci stosunkowo szybko przystosowali się do nowych warunków życia. Było to zjawisko o tyle ciekawe, że większość z nich urodziła się bądź na terenie Mandżurii, bądź w Rosji i Polska była dla nich krajem znanym jedynie z rodzinnych opowieści, szkolnych lekcji i harcerskich zbiorów. Niewątpliwie czynnikiem sprzyjającym szybkiej aklimatyzacji było to, że prawie wszyscy mandżuracy znali dobrze język polski i wychowani byli w tradycjach narodowych. Ponadto należy pamiętać o doświadczeniach życiowych większości reemigrantów. Ciężkie warunki życia w czasach Mandżukuo i później, gdy kontrolę nad Mandżurią przejęli chińscy komuniści, zahartowały reemigrantów na wszelkie trudności i niepowodzenia. Sytuacja, jaką zastali w Polsce, nie była więc dla większości z nich szczególnie ciężka, tym bardziej że państwo zagwarantowało wszystkim przyzwoity start: pracę, mieszkania, możliwość nauki i studiów.



Grupa polskich ochotników z Mandżurii do Wojska Polskiego we Francji pod gmachem Poselstwa Polskiego w Szanghaju, 1940 r. (ze zbiorów Karoliny i Władysława Karnacewiczów)

Po lipcowej repatriacji w Harbinie pozostało jeszcze około 450 Polaków. Połowa z nich w ciągu kilku lat, począwszy od 1950 r., powróciła do kraju na polskich statkach. Ta część Polonii, która nie widziała dla siebie miejsca w powojennej Polsce, wyemigrowała do innych krajów: Australii, Stanów Zjednoczonych, Kanady i Brazylii. Część obywateli polskich narodowości żydowskiej udała się do Izraela. Pod koniec lat pięćdziesiątych w Harbinie mieszkało jeszcze kilkudziesięciu Polaków. Ostatecznie i ta garstka opuściła chińską ziemię i przyjechała do PRL w 1963 r. W Harbinie mieszkała już tylko jedna polska rodzina. Jej ostatni przedstawiciel dopiero w 1993 r. zdecydował się na przyjazd do Polski.

Mimo zabiegów władz zmierzających do tego, by „wtopić” repatriantów w krajobraz społeczny PRL-u i zatrzeć wszelkie ślady ich „inności”, środowisko mandżuraków starało się kultywować swoje tradycje i ocalić zbiorową pamięć o swej egzotycznej przeszłości. W okresie stalinowskim, pomimo starań samego Krąkowski, nie zezwolono na przykład na zorganizowanie oficjalnego zjazdu mandżuraków. Mógł się on odbyć dopiero we wrześniu 1956 r. w Warszawie. W latach następnych organizowano raczej spotkania o prywatnym charakterze. Dopiero w listopadzie 1987 r. przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej został założony Klub Harbińczyków. Stowarzyszenie składało się z tak zwanych grup terenowych. Powstały one w Szczecinie, Elblągu, Warszawie, Olsztynie i w Trójmieście. Do dziś pod nazwą Klubu Harbińczyków najbardziej aktywnie działa grupa szczecińska. Utrzymuje kontakt z rozszanymi po całej Polsce reemigrantami i ich rodzinami, a także tymi mandżurakami, którzy wybrali emigrację. Żywe są również ostatnio kontakty z działającymi w Rosji stowarzyszeniami zraszającymi byłych Rosjan mandżurskich. Na łamach wydawanych przez te środowiska pism członkowie dawnej kolonii polskiej zamieszczają swoje wspomnienia, a nawet artykuły polemiczne. Narodowość i obywatelstwo nie przeszkadzają i jednym, i drugim czuć się członkami nieistniejącej już wieloetnicznej społeczności, która zaczęła się formować w końcu XIX wieku w Mandżurii.

UCHODŹCY POLSCY NA WĘGRZECH W LATACH 1939–1944

Mało jest na świecie miejsc, gdzie Polacy byliby przyjmowani tak serdecznie jak na Węgrzech. W historii dwóch ostatnich stuleci było aż nadto dowodów tej przyjaźni, jednak szczególnym okresem okazała się druga wojna światowa.

We wrześniu 1939 r. tysiące uchodźców cywilnych i wojskowych przekroczyły przełęcz karpackie i znalazły się na obszarze Rusi Zakarpackiej, należącej od kilku miesięcy do Korony Węgierskiej. Mimo usilnych starań rządu madziarskiego, aby ustalić liczbę wszystkich przybyszów, niełatwo było ocenić rozmiary tego uchodźstwa. Znaczna część uchodźców wojskowych opuściła Węgry już w 1940 i 1941 r. Z obozów położonych w pobliżu granicy z Jugosławią (Gyékényes, Csurgó, Babócsa, Barcs i innych) do wiosny 1940 r. do Francji przez Włochy zbiegło wielu Polaków (w ramach ewakuacji polskich żołnierzy na Zachód – akcja o kryptonimie „Ewa”) przy milczącej aprobacie władz madziarskich. Formalnie za pomoc przy ucieczce z Węgier, będących sojusznikiem Trzeciej Rzeszy, groziła kara. Nikt jednak groźby tej nie brał poważnie do tego stopnia, że w 1939 r., przy okazji jednej z takich spraw, madziarski sąd wydał wyrok uniewinniający. Wyrok posłużył w przyszłości jako wykładnia do określenia statusu uchodźców polskich na Węgrzech. Podpierając się zarządzeniem Ministra *Honwedów*¹ (Ministerstwo Wojny), sąd orzekł, że pomoc udzielana Polakom zamierzającym opuścić Węgry nie jest pomocą w ucieczce więźnia ani czynem antypaństwowym. Wyraził też opinię, że Polacy nie powinni być traktowani jako jeńcy wojenni, lecz jak przedstawiciele narodu zaprzyjaźnionego.

Do 1941 r. na Węgrzech działała Delegatura Rządu RP na Uchodźstwie, uznawana przez władze w Budapeszcie. W praktyce jej głównym zadaniem było utrzymywanie kontaktu z okupowanym krajem. Było to możliwe dzięki poświęceniu kurierów przekraczających granicę w Karpatach². Ukazywała się prasa, z kilku źródeł (Czerwony Krzyż, rząd RP na emigracji i rząd szwedzki) napływały pieniądze dla uchodźców, działało 17 różnych komitetów i organizacji emigracyjnych. Szczególne duże zasługi w ratowaniu Polaków położył dr József Antall, kierownik sekcji ds. pomocy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Antall i Pál Domszky³ przygotowywali fałszywe dokumenty, dzięki którym specjalny pociąg Czerwonego Krzyża zabierał z Generalnego Gubernatorstwa na Węgry ich rodaków. Wśród nich często znajdowali się poszukiwani przez gestapo Polacy (w ten sposób na Węgry trafił między innymi Andrzej Kołtąj-Szednicki – członek Armii Krajowej). Pomocy w organizowaniu akcji przerzutowej Polaków z Węgier do Francji w latach 1939–1941 udzielały między innymi hr. Edit Weiss, hr. Ilona Andrassy i księżna Klára Odescalchi-Andrassy. Wymienione panie – reprezentantki arystokratycznych rodów – były honorowymi członkiniami polskich organizacji społecznych, co sprawiało, że sprawy Polaków znajdowały zainteresowanie salonów politycznych. Środowiska arystokratyczne wpływały na regenta Horthyego, dzięki czemu akcja nielegalnego opuszczania Węgier przez Polaków była kontynuowana bez przeszkód.



Księżna Elsa Bernadotte-Cedergren (w kapeluszu) podczas wizyty w szkole Balatonboglár. Księżna była bratanicą króla szwedzkiego i przewodniczącą Światowego Związku Organizacji Dziewczęcej. Na lewo od księżnej stoi Danuta Jakubiec, wówczas uczennica.

W strukturze Ministerstwa Wojny powstał XXI oddział, z Marianem Steiferem na czele, zajmujący się sprawami internowanych wojskowych. Działający w ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych IX oddział przejął z kolei sprawy cywilów. Powołano *Lengyel Polgári Menekültek Képviselete* (Przedstawicielstwo Polskich Uchodźców Cywilnych). Głównym zadaniem tej struktury było niesienie pomocy przy nielegalnym przedostawaniu się Polaków z Węgier na Zachód. Henryk Sławik, prezes organizacji, wystawił setki fałszywych paszportów polskich, dzięki którym takie wyjazdy były możliwe. Posługiwano się przy tym autentycznymi dokumentami nieżyjących Polaków z Kresów Wschodnich, przywożonymi przez kurierów do Budapesztu. Wyjazdy Polaków z Węgier do Francji (gdzie powstawała polska armia) ułatwiała również specjalna komórka przy policji budapeszteńskiej,

zajmująca się ruchem cudzoziemców w stolicy. Kierowało nią czterech Polaków z Józefem Jakubcem na czele, który przed wojną zajmował się zwalczaniem komunistycznej propagandy na terenie Polski. Komórka ta została później zlikwidowana na żądanie władz niemieckich. Jej były szef musiał się ukrywać.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej

Po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej i podpisaniu układu polsko-sowieckiego (Sikorski–Majski) Polska i Węgry znalazły się w przeciwnych obozach. Sytuacja Polaków na Węgrzech znacznie się pogorszyła. Teraz władze niemieckie mogły już kategorycznie żądać rozwiązania polskich struktur emigracyjnych, w dużej mierze wymykających się spod kontroli władz węgierskich. Węgierskie Ministerstwo Wojny nakazało zatem Ministerstwu Spraw Wewnętrznych wzmoczenie kontroli polskich organizacji, gdyż „nie tylko nadużywają gościnności państwa węgierskiego, ale też naruszają jego interesy polityczne”. Powołano specjalny kilkusobowy organ, którego zadaniem była kontrola napływających zza granicy środków finansowych.

Wybuch wojny na wschodzie i układ polsko-sowiecki z 1941 r. oznaczał również zmianę w położeniu polskich Żydów na węgierskiej ziemi. Pod naciskiem władz niemieckich w 1941 r. uchwalono na Węgrzech tak zwaną *fajvédelmi törvény* (ustawę o ochronie rasy), która obejmowała także Żydów z ziem polskich. Polonia węgierska zaangażowała się w akcję pomocy Żydom. Uczestniczył w niej między innymi kierujący polskim internatem w Rákóczihalva Stanisław Vincenz, który na fałszywych dokumentach przechowywał 35 dzieci. W okolicach Budapesztu na przełomie lat 1939–1940 powstało wiele takich przytułków (Csillaghegy, Szentendre, Leányfalu). W prowadzonej przez Polaków szkole w Balatonboglár uratowało się 123 dzieci żydowskich, a szkołą w Vác – gdzie znajdowały się wyłącznie żydowskie dzieci – dla zmylenia Niemców kierował katolicki ksiądz.

Oświata i kultura

Prawdziwym azylem dla polskich dzieci była działająca od września 1940 r. do późnej jesieni 1943 r. szkoła w Balatonboglár (początkowo w Balatonzamárdi). Uczono w niej w języku polskim, a po otrzymaniu matury można było kontynuować naukę na węgierskich uniwersytetach. Szkoła, oficjalnie nazywana Obozem Cywilnych Uchodźców, była utrzymywana przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Węgier. Dyrektor szkoły (Hieronim Urban, od 1944 r. Piotr Jędrasik) pełnił jednocześnie funkcję „starszego obozu”. Warto wspomnieć, że w szkole działał dziecięcy teatrzyk, w którym w jednej z wystawianych sztuk rolę Lucyfera odgrywała osoba ucharakteryzowana na Hitlera. Przez liceum w Balatonboglár przewinęło się około 800 dzieci. W całym kraju powstało 27 szkół elementarnych, w tym między innymi w Keszthely i Nagykanizsa. W obozach w Nagykanizsa i Bregencmajor prowadzono działalność kulturalną – kółka śpiewacze i teatrzyki marionetek. Należy pamiętać o tym, że kiedy dzieci polskie na terenach okupowanych poznawały okropieństwa wojny na równi z dorosłymi, polska młodzież na Węgrzech nie cierpiała głodu, nie brakowało jej nawet słodyczy – dzienna stawka utrzymania ucznia wynosiła 2 pengö, czyli równowartość 2 ówczesnych złotych (stawka dla nauczyciela – 4 pengö). Nauczyciele ponadto otrzymywali uposażenie miesięczne w wysokości 30 pengö. Wszystkie te koszty finansowało madziarskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Na Węgrzech redagowano pismo „Wieści Polskie”, ukazujące się do momentu zajęcia Budapesztu przez Niemców w 1944 r. Jego twórcą był pracownik poselstwa RP w Budapeszcie Jan Ulatowski, a współpracownikami – lektor języka polskiego na uniwersytecie w Budapeszcie dr Zbigniew Kościuszko i satyryk Zygmunt Bogucki. W sumie, w latach 1939–1944, ukazywały się na Węgrzech 34 polskie tytuły prasowe.

Kościół i służba zdrowia

W Budapeszcie działała parafia katolicka prowadzona przez polskich księży, którzy między innymi zasłużyli się ratowaniem żydowskich dzieci. Inicjatorem powołania na Węgrzech polskiego duszpasterstwa był o. Michał Zembrzuski, paulin z Jasnej Góry. W 1940 r., po opuszczeniu Węgier przez bp. Karola Radomskiego, duszpasterstwo wojskowych przejął ks. Anastazy Rutkowski, a cywilów o. Piotr Wilk-Witostawski (aresztowany w 1944 r., zginął w Mauthausen).

Działalność Kościoła polskiego (także wydawnicza) stanowiła ważny element wychowania patriotycznego. W czasie wojny wyświęcono na Węgrzech pięciu polskich księży. Polacy przebywający na Węgrzech otrzymywali pomoc za wstawiennictwem ks. Béli Vargi i nuncjusza papieskiego kard. Angelo Rotta. Jako poseł do węgierskiego parlamentu z ramienia Partii Drobnych Rolników ksiądz Varga posiadał immunitet poselski. To pozwalało mu pomagać w opuszczeniu Węgier Polakom poszukiwanym przez gestapo. Varga, za zgodą premiera Miklósa Kállaya, utworzył siatkę kurierską, dzięki której rząd węgierski przez agentów polskich i węgierskich w Lizbonie kontaktował się z państwami alianckimi. Generalnie jednak węgierska hierarchia kościelna z rezerwą traktowała „polityczne” zaangażowanie polskiego duchowieństwa.

Sprawami ochrony zdrowia uchodźców zajmował się *Magyar-Lengyel Menekültügyi Bizottság* (Polsko-Węgierski Komitet ds. Uchodźców). Były legionista – dr gen. Jan Koftajtaj-Szednicki – kierował tą komórką, a także Sekcją Polską Lekarzy Czerwonego Krzyża na Węgrzech. Wspólnie z płk. Janem Barskim (dowódcą polskiej konspiracji wojskowej w Budapeszcie) organizowali dostawy leków – otrzymywanych bezpłatnie od węgierskiej firmy



Wieża kościelna w Balatonboglár podczas wizyty nuncjusza papieskiego Angelo Ratta w 1943 r. Widoczna flaga polska a pod nią francuska (w Balatonboglár był też obóz dla jeńców francuskich)

farmaceutycznej „Chinoin” – dla okupowanej Polski. Wielu lekarzy polskich prowadziło praktykę zawodową na terenie Węgry, kierowało aptekami (na przykład w gminie Kiskunlacháza kierowniczką apteki była Alina Wasilewska).

Ruch oporu

Pierwsze informacje o prześladowaniach Żydów w Generalnym Gubernatorstwie dotarły na Zachód via Węgry. Przekazał je Tadeusz Celt (prawdziwe nazwisko – Tadeusz Chciuk), który w przebraniu księdza wyruszył z Budapesztu do Szwajcarii. Towarzyszył mu w podróży ks. Varga z Balatonboglár, u którego na plebanii ukrywano przed agentami gestapo syna wicepremiera rządu londyńskiego – Mariana Mikołajczyka. Ksiądz Varga uczestniczył w ewakuacji z Węgry (do Szwajcarii lub do Londynu przez Bliski Wschód) wielu wybitnych Polaków. Dzięki jego pomocy między innymi mógł odbyć podróż z Węgry do Londynu i z powrotem emigracyjny działacz Edmund Fietowicz (aresztowany w marcu 1944 r., stracony w Mauthausen). Bardzo silnym ośrodkiem konspiracji było środowisko studenckie. Już w grudniu 1939 r. powstała Wojskowa Baza Wywiadowczo-Łącznikowa (Baza 1). Do maja 1942 r. działała pod kryptonimem „Romek”, później pod kryptonimem „Liszt”. Członkami tajnych struktur byli między innymi Stanisław Marusarz (oficjalnie student filozofii w Budapeszcie), wspomniany już Waclaw Felczak oraz kurierzy Mieczysław Dąbrowski, Jan Łożański i Andrzej Zahorski. Ten ostatni był kierownikiem grupy akowskiej młodzieży akademickiej. Po wkroczeniu Rosjan do Budapesztu wiosną 1945 r. został rozstrzelany.

Istniał też cywilny pion konspiracyjny. W 1940 r. powołano Cywilną Bazę Łączności Zagranicznej (tak zwaną Placówkę „W”). Była bezpośrednim przedstawicielstwem rządu RP na uchodźstwie i jemu podlegała. Na jej czele stał Edmund Fietowicz.

Pod rządami „nilaszowców”⁴

Po zajęciu Węgry w marcu 1944 r. przez wojska niemieckie regent Miklós Horthy przekazał władzę faszystom węgierskim z Ferencem Szálasim na czele. Pozostających na Węgrzech Polaków zaczęto traktować jako „element wrogi”. Większość istniejących obozów dla internowanych została przeniesiona w pobliże granicy austriackiej. W listopadzie 1944 r. w Pákozd koło Székesfehérváru został zastrzelony przez bojówkę nilaszowców farmaceuta płk. Kazimierz Moszczeński. Nie była to jedyna ich ofiara. Wszystkie polskie środowiska poddano gruntownej inwigilacji. Było to podyktowane obawą przed ewentualną rewoltą polskich uchodźców na Węgrzech, działających w porozumieniu z rządem RP na uchodźstwie. Materiały archiwalne wspominają o umieszczeniu w jednym z obozów agenta gestapo, którego zadaniem było informowanie o nastrojach panujących wśród Polaków. Został jednak zdekonspirowany i zlikwidowany.

Osoby mające na Węgrzech rodziny miały być zatrudnione w pracach rolnych i leśnych. Od tego obowiązku mogły być zwolnione jedynie osoby szczególnie zasłużone dla Węgry lub te, które znalazły się na ich terenie za wstawiennictwem władz niemieckich. Szeregowców i cywilów postanowiono zatrudnić pod kontrolą straży w specjalnych zakładach.

Sytuacja Polaków na Węgrzech ustabilizowała się dopiero pod koniec wojny. Wielu z nich opuściło obozy dla uchodźców i znalazło pracę. Wtedy też dokonano ostatecznego spisu Polaków na Węgrzech (niektóre obozy przysyłały sprawozdania z podziałem na ludność pochodzenia polskiego i żydowskiego). Zarejestrowano 21 obozów wojskowych, w których przebywało 1430 oficerów (w tym 334 członków ich rodzin) i 3741 szeregowych (w tym 95

członków ich rodzin). Liczbę cywilów oszacowano na 2835 osób. W połowie 1944 r. na Węgrzech w sumie przebywało około 8500 uchodźców.

Większość uchodźców polskich po wojnie powróciła do kraju. Nad Dunajem pozostało tylko kilka skupisk Polonii, z których największe było Budapeszcie oraz w górniczych miasteczkach Tata i Tatabánya. Ich interesy reprezentowało Polskie Stowarzyszenie Kulturalne na Węgrzech im. Józefa Bema, które powstało pod koniec lat czterdziestych. Ważniejsze zmiany w statusie Polonii węgierskiej nastąpiły dopiero po 1989 r.

¹ *Honvédelemi Miniszterium* – Ministerstwo Obrony Narodowej (dosłownie: Ojczystej).

² Legendą obrosta kurierska działalność prof. Wacława Felczaka. Był wówczas studentem na uniwersytecie Loranda Eötvösa, przed wojną stypendystą Eötvös Collegium, a po wojnie za działalność niepodległościową więźniem politycznym. Prof. Felczak był doskonałym znawcą historii Węgier i autorem prac dotyczących kontaktów polsko-węgierskich.

³ Pál (Paweł) Domszky był założycielem Związku Węgierskiego w Generalnym Gubernatorstwie z siedzibą w Warszawie. Na mocy umowy Królestwa Węgierskiego i Trzeciej Rzeszy z 1943 r. uzyskał zgodę na wywóz z terenów polskich tych węgierskich obywateli, którzy nie mogli się tu samodzielnie utrzymać. Domszky założył także filię swojego związku w Krakowie i we Lwowie.

⁴ Nazwa węgierskiego ruchu faszystowskiego od *nyiláskereszt* (strzała i krzyż – elementy węgierskiej swastyki).



Pomnik gen. Józefa Bema w Budapeszcie

POLACY W BERLINIE

Berlin Zachodni, chroniony przez alianckie wojska, przez 45 lat pozostawał jedyną enklawą wolnego świata wewnątrz bloku sowieckiego. Mimo że od 1961 r. otaczał go mur, także dla Polaków pozostawał on najłatwiej osiągalnym fragmentem Zachodu. Dla wielu Berlin stał się bramą do dalszej emigracji, niektórzy pozostali w nim na stałe.

Polacy na masową skalę zaczęli się osiedlać w Berlinie w drugiej połowie XIX wieku. Wkrótce polska społeczność liczyła ponad 30 tys. osób, pochodzących przede wszystkim z Wielkopolski. Mimo że większość emigrantów szybko się asymilowała, kwitło polskie życie kulturalne, religijne i społeczne. Ukazywał się katolicki „Dziennik Berliński”, działały dwa polskie banki. W 1911 r. istniało ponad 70 różnych polskich stowarzyszeń, a także grupy powiązane z głównymi nurtami politycznymi (socjaliści, endecy). Wystawiano nawet polskich kandydatów w wyborach parlamentarnych, niestety, otrzymywali oni tylko ułamek „polskich” głosów (około 20 proc.).

Polskie organizacje, wśród których na czoło wysunął się powstały w 1922 r. Związek Polaków w Niemczech, kontynuowały działalność po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Chociaż coraz większa część polskiej społeczności asymilowała się, a napływ nowych emigrantów praktycznie ustał, to wciąż istniało około 50 polskich organizacji, w tym harcerskich i sportowych. Ich aktywność zaczęła słabnąć w drugiej połowie lat trzydziestych i praktycznie we wrześniu 1939 r. przestały one działać. W latach drugiej wojny światowej berlińska Polonia poniosła kolejne straty. W wyniku zaniedbań polskiego wywiadu gestapo ujęło wielu jego przedwojennych współpracowników. Część Polaków zaangażowała się w pomoc dla robotników przymusowych lub nawiązała współpracę z AK, co opłacono dalszymi ofiarami. Wielu Polaków, jako obywateli Rzeszy, zmuszono do służby w Wehrmachcie.

Po zakończeniu działań wojennych w Berlinie obok dawnej Polonii znalazła się spora grupa polskich „dipisów” (*Displaced Persons*). Byli to przede wszystkim niedawni robotnicy przymusowi. Mimo istnienia polskiej misji repatriacyjnej znaczna ich część zdecydowała się na dalszą emigrację. Niewielu z nich pozostało w Berlinie. Do kraju powróciła część osób należących do „starej” emigracji. Życie obu grup Polaków stopniowo przenosiło się do zachodnich stref okupacyjnych Berlina. Wznowił działalność Związek Polaków w Niemczech, w którym w 1955 r. doszło do rozłamu i utworzenia Zjednoczenia Polaków w Berlinie Zachodnim. Trudno powiedzieć, jaką rolę w tym i kolejnych podziałach odegrały służby specjalne PRL. „Nową” emigrację skupiało przede wszystkim Zjednoczenie Polskich Uchodźców w Niemczech. Działały także, stopniowo słabnące, stowarzyszenia kulturalne i sportowe. W jednoczeniu Polaków bardzo ważną rolę odgrywały ośrodki duszpasterskie.

W tym czasie Berlin Zachodni stał się ważnym etapem ucieczek z Polski. Z jednej strony był częścią zachodniego świata najbliższej położoną granic PRL, z drugiej zaś mogły



Sektor amerykański w Berlinie – tablica ostrzegająca przed wjazdem do sektora sowieckiego

przez niego uciekać osoby przebywające służbowo lub turystycznie w stolicy NRD. Każdy posiadający paszport obywatel polski mógł wejść do zachodnich stref okupacyjnych i poprosić o azyl. Z drogi przez Berlin skorzystał między innymi płk Józef Świątło. Wybudowanie w 1961 r. muru berlińskiego zmieniło sytuację tylko w niewielkim stopniu. Dla większości nielegalnych emigrantów Berlin był etapem w dalszej drodze na Zachód.

W dekadzie gierkowskiej nasiliły się przyjazdy Polaków do Berlina. Oprócz uchodźców w mieście zaczęli się także pojawiać ludzie pracujący „na czarno” i powracający po pewnym czasie do kraju. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych coraz więcej osób decydowało się na pozostanie na stałe w Berlinie Zachodnim. Wśród nich znalazło się kilka osób związanych z opozycją demokratyczną w Polsce. To właśnie ich obecność spowodowała, że w początkach 1980 r. rozpoczęła działalność berlińska delegatura chicagowskiego Ruchu Społeczno-Politycznego „Pomost”. Powstała również polska księgarnia, będąca punktem wymiany informacji i miejscem nawiązywania kontaktów. Kolejny rok przyniósł ogromny napływ Polaków, w tym także grup działaczy NSZZ „Solidarność”. Nie wszyscy zamierzali wyemigrować z kraju, jednak po 13 grudnia 1981 r. większość zosta-

ła do tego zmuszona. Okres stanu wojennego i późniejszej „normalizacji” uaktywnił najnowszą falę emigrantów. Już 17 grudnia 1981 r. powstała Grupa Robocza „Solidarność”, a w lutym 1982 r. Komitet Obrony Solidarności. Oba ugrupowania wydawały własne pisma, w proteście przeciw wydarzeniom w Polsce organizowały pikety i demonstracje. Ważną dziedziną działalności berlińskich Polaków było także wspieranie podziemia w kraju, między innymi przez wysyłkę publikacji, materiałów poligraficznych itp. Dużo uwagi poświęcano obronie praw polskich azylantów. Władze umieszczały ich bowiem w tak zwanych *heimach*, gdzie w ciężkich warunkach czekali na przyznanie prawa pobytu lub umożliwienie dalszej emigracji – najczęściej do Kanady, Australii lub RPA. Najwięcej problemów sprawiała obrona zdesperowanych osób, które jedyną drogę ucieczki z kraju widziały w porwaniu samolotu. Walczono o uniemożliwienie ich deportacji do PRL, a następnie o jak najniższe wyroki.

Aktywność tych grup zaczęła słabnąć w połowie lat osiemdziesiątych. Złożyło się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim wielu aktywnych działaczy udało się na dalszą emigrację. Normalizowała się także sytuacja w kraju, a Niemcy poświęcali Polakom już mniej uwagi. Coraz większa grupa emigrantów była zainteresowana przede wszystkim dobrem własnym i swojej rodziny. Poszukiwano nowych form działalności – w 1987 r. powstał w Berlinie Klub Inteligencji Katolickiej, a wcześniej Polska Rada Społeczna, prowadząca działalność także wśród innych narodowości. Przedsięwzięcia te odnosiły jednak ograniczone sukcesy. Stopniowo zamierały stowarzyszenia, przestawały ukazywać się czasopisma. Niestabnącą popularnością cieszyło się jedynie duszpasterstwo dla katolików mówiących po polsku. Powstało 25 grudnia 1981 r. i kilka lat później uzyskało stałą siedzibę w kościele św. Jana Kapistrana na Tempelhofie. Niedzielne msze, obok swej wartości religijnej, umożliwiały spotkanie się, wymianę informacji, znalezienie pracy i mieszkania itp.

Berlin Zachodni nie stał się istotnym ośrodkiem życia polskiego, mimo że w powojennym czterdziestopięcioleciu przewinęło się przez to miasto zapewne grubo ponad 100 tys. polskich emigrantów. Przyczyn tej sytuacji jest kilka. Przede wszystkim dla większości uchodźców był on tylko etapem w dalszej emigracji. Ci, którzy chcieli prowadzić działalność polityczną, wyjeżdżali do Paryża i Londynu, natomiast ci, dla których priorytetem były sprawy ekonomiczne, udawali się częstokroć na inne kontynenty. Na niepowodzeniu prób stworzenia silnego ośrodka życia polskiego zaważyły także: wewnętrzne rozbieżności i wzajemna nieufność między poszczególnymi grupami emigracji wynikające z różnicy doświadczeń, statusu prawnego i materialnego, a także stopnia asymilacji ze społeczeństwem niemieckim.

Położony zaledwie godzinę drogi od polskiej granicy Berlin dziś nadal zamieszkuje kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Są wśród nich legalni i nielegalni robotnicy budowlani, studenci i gospodynie domowe. Stara Polonia wymiera, powojenni emigranci w drugim pokoleniu się asymilują. Pozostali, wraz z nowymi przybyszami, nie są już uchodźcami, a jedynie Polakami zamieszkującymi chwilowo poza granicami kraju. Nawet jeśli ta „chwila” trwa niekiedy kilkanaście lat...

KOŚCIÓŁ KATOLICKI WOBEC POWOJENNEJ EMIGRACJI (1945–1989)

Przez długie powojenne lata Kościół katolicki był najważniejszą instytucją, która systematycznie podtrzymywała więź między krajem a Polonią, a także integrowała wychodźstwo, nie tylko polityczne.

Co najmniej od lat trzydziestych XIX w. wszędzie tam, gdzie zjawiali się Polacy – poczynając od Francji po powstaniu listopadowym, a kończąc na Brazylii i Stanach Zjednoczonych – niemal natychmiast powstawała polska parafia, z czasem Polska Misja Katolicka (Anglia, Francja), a równocześnie polskie stowarzyszenia katolickie (na przykład w USA) i szkoły (liceum w Paryżu; szkoły sobotnie, często prowadzone przez Polską Macierz Szkolną). Jeszcze w latach trzydziestych kardynał August Hlond powołał do życia Towarzystwo Chrystusowe, specjalne zgromadzenie zakonne, którego celem było podtrzymywanie kontaktu z Polonią. Przed 1939 r. postugę duszpasterską dla polskich skupisk emigracyjnych, od Włoch po Stany Zjednoczone, rozpoczęło wiele innych zgromadzeń, żeńskich i męskich. W Rzymie funkcjonowały domy zakonne, na bazie których po wojnie powstawały nowe domy: oo. marianów, oo. paulinów i oo. zmartwychwstańców oraz ss. misjonarek św. Piotra Klawera, ss. felicianek, ss. nazaretanek, ss. urszulanek i ss. zmartwychwstanki. Miejsce zgromadzenia zakonne były zasilane przez Polaków; instalowano też domy zakonne opiekujące się wychodźstwem (dom ss. urszulanek założony w Rzymie w latach II Rzeczypospolitej przez Urszulę Ledóchowską). Od XIX w. w Rzymie istniały ponadto ważne placówki dla studiujących księży – Papieski Instytut Polski oraz Papieskie Kolegium Polskie.

Pod koniec XIX w. w Londynie powstała Polska Misja Katolicka, której siedzibą od 1930 r. stał się kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej przy Devonian Rd w dzielnicy Islington. Jeszcze przed wojną jej rektorem został ks. Władysław Staniszewski. W czasie drugiej wojny światowej świątynia ta była jedynym wolnym kościołem Polski Walczącej, jak mówiono w Wielkiej Brytanii. Tu zamieszkał biskup polowy WP Józef Gawlina, któremu podlegali kapelani wojskowi Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (w tym 2. Korpusu gen. Władysława Andersa). Podczas niedzielnych nabożeństw i uroczystości rocznicowych modlili się w nim przywódcy polskiego państwa na wychodźstwie z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem i premierem gen. Władysławem Sikorskim na czele.

Institucje i kanony powstałe w XIX w. i przed zakończeniem drugiej wojny światowej stanowiły zatem stabilny fundament, pomocny nowej fali wychodźstwa, którą los (i decyzje Wielkiej Trójki) pozbawił prawa godnego powrotu do swej ojczyzny. Struktury Kościoła sprawnie dostosowano do nowych potrzeb wiernych – Polaków, dla których emigracja stanowiła przystanek na drodze do niepodległej Polski.

Prymasi i ich delegaci

Od czasów Augusta Hlonda (1926–1948) opiekunem wychodźstwa był prymas Polski. W zależności od okoliczności zewnętrznych (politycznych) sprawował swą funkcję bezpo-



Wizyta gen. Sosnkowskiego w Watykanie w 1944 r. Po lewej stronie Sosnkowskiego widoczni gen. Duch i Tokarzewski-Karaszewicz; po prawej ambasador Papée; drugi od lewej M. Wańkowicz (ze zbiorów Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku).

średnio lub za pośrednictwem stałego delegata. Przed wybuchem drugiej wojny światowej poza granicami II Rzeczypospolitej mieszkało już około 8 mln Polaków. Po jej zakończeniu na wychodźstwie pozostało blisko 1 mln 600 tys. rodaków, w tym wielu kapłanów – kapelanów PSZ na Zachodzie, jurysdykcyjnie podległych biskupowi polowemu Józefowi Gawlinie. Liczba kapłanów wzrosła szczególnie po wyzwoleniu przez aliantów obozu koncentracyjnego w Dachau. Obok tradycyjnych skupisk polonijnych (Ameryka Południowa, USA, Francja, Wielka Brytania) powstały nowe: Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka, Rodezja, Bliski Wschód (Liban), Indie i inne. Tam między innymi skierowano polskie dzieci i młodzież, wywiezione przez gen. Andersa z „niehumanitarnej ziemi”. Kościół katolicki, tak z racji swej powszechności, jak i przywiązania Polaków do wiary ojców, stanowił dla wychodźstwa naturalne środowisko formacyjno-kulturowe. „Jesteśmy częścią narodu polskiego, która stała się australijską grupą wolnych Polaków. [...] Hasłem naszym jest stara zasada Kościoła Katolickiego: w rzeczach wielkich jedność, w rzeczach wątpliwych swoboda, we wszystkich miłość” – pisali w 1950 r. delegaci I Zjazdu Polskich Organizacji w Australii, grupujących 70 tys. Polaków.

Po 1945 r. Kościół hierarchiczny stanął przed nowymi wyzwaniami, które dodatkowo kształtowała wyjątkowo niekorzystna sytuacja Kościoła w Polsce, poddawanego od 1947 r. systematycznym szykanom ze strony władzy komunistycznej. Przede wszystkim pojawiła się konieczność zorganizowania od nowa pracy duszpasterskiej. Podejmowane wówczas decyzje trzeba było dostosować do nieprzewidywalnej przyszłości, czyli zarówno długotrwałego pozostawania sporej liczby ludności katolickiej polskiej poza swymi diecezjami macierzystymi, jak i krótkotrwałej bytności Polaków poza krajem.

Chociaż podstawą jurysdykcji kościelnej jest terytorium diecezji (bądź archidiecezji) z biskupem ordynariuszem (bądź arcybiskupem) na czele, to jednak – jak pisze znawca tematu, abp Szczepan Wesoły – „czasami powstają sytuacje, w których pewne kategorie ludzi wymagają szczególnej opieki. [...] Wówczas dla tej kategorii ludzi może być udzielona jurysdykcja oddzielna, jurysdykcja personalna, która jest związana z osobą, a nie z terytorium – np. wojsko ma swoją diecezję, która jest personalna, czyli że każdy żołnierz podlega pod jurysdykcję biskupa polowego, niezależnie od tego, gdzie przebywa”. Z tej wyjątkowej sytuacji zdawał sobie sprawę kard. August Hlond, który wkrótce po zakończeniu wojny znalazł się w Rzymie. Z jego to inspiracji w maju 1945 r. dotychczasowy biskup polowy WP Józef Gawlina został mianowany przez papieża ordynariuszem dla Polaków przebywających w Niemczech i Austrii. Tym samym bp Gawlina pozostał opiekunem żołnierzy PSZ i ich rodzin, którym po układzie Majski–Sikorski udało się wydostać ze Związku Sowieckiego, oraz opiekunem ludności polskiej w okupacyjnych strefach niemieckich – głównie byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Z racji rozlicznych obowiązków bp Gawlina przejął część swoich kompetencji dotyczących obszaru Niemiec na ks. infułata Edwarda Lubowieckiego, czyniąc go swym wikariuszem generalnym. Dopiero po śmierci wikariusza, w 1975 r. powstała w Niemczech Polska Misja Katolicka.

Jednocześnie na terenie Europy istniała przedwojenna struktura rektoratów (PMK), na czele których stał prymas Polski, a ich obsadę personalną uzależniał od porozumienia z miejscowym ordynariuszem.

Specyficzna sytuacja wytworzyła się w Wielkiej Brytanii, gdzie z jednej strony istniała jurysdykcja miejscowego ordynariusza i prymasa Polski ponowiona w 1948 r. dla księży polskich Staniszewskiego (PMK dla Anglii i Walii) oraz Ludwika Bombasa (PMK w Szkocji), z drugiej strony zaś jurysdykcja biskupa polowego, którego wikariuszem generalnym został dla tych terenów ks. prałat Bronisław Michalski, kapelan PSZ. Ksiądz prałat sprawował opiekę nad żołnierzami (przechodzącymi stopniowo w stan spoczynku) i napływającą do Wielkiej Brytanii rzeszą ludności. Początkowo osiedlali się oni w zwartych skupiskach (w tak zwanych hostelach), z czasem zaś zamieszkiwali w konkretnych parafiach podległych jurysdykcji miejscowego ordynariusza oraz rektora PMK (w przypadku Anglii i Walii, ks. Staniszewskiego). Problem podwójnej jurysdykcji skończył się wraz z rozwiązaniem ostatniego z hosteli, czyli około 1950 r. Prymas „postanowił zorganizować trwałą opiekę nad wychodźstwem polskim. Dlatego powołał na przód najrozmaitsze rektoraty duszpasterskie, [...] a nadto otoczył żywą opieką Emigrację polską, szczególnie w krajach Ameryki Południowej” – pisał w liście pasterskim do emigracji prymas Stefan Wyszyński w 1966 r. Rektor misji (na przykład we Francji) tym się różnił od proboszcza parafii, że był „przedstawicielem całego duszpasterstwa polskiego w stosunku do episkopatu kraju zamieszkania czy wobec poszczególnych diecezji. Wspólnota polska ma świadomość, że tworzy jedną zorganizowaną społeczność katolicką w danym kraju, niezależnie od tego, czy poszczególna placówka należy do kleru diecezjalnego, czy zakonnego”.

W sumie po wojnie istniało ponad 100 rektoratów PMK. Przy misji mogły powstawać także komisje kościelne, na przykład katechetyczna czy też apostołstwa świeckich. Ta ostatnia była szczególnie ważna, gdyż pozwalała znaleźć oparcie w strukturze kościelnej oddolnym inicjatywom wiernych. Emigranci szukali środków na budowę własnej świątyni, organizowali swoje szkoły dla dzieci polskich, duszpasterstwa (na przykład akademickie) czy wydawnictwa. Dzięki opiece Kościoła „przedstawiciele polskiego laikatu wchodzili jako pełnoprawni członkowie do międzynarodowych organizacji katolickich, w których zajmowali również stanowiska kierownicze” (na przykład w Akcji Katolickiej).

W Stanach Zjednoczonych sytuacja była o tyle bardziej skomplikowana, że nie istniały PMK, a zatem wydzielone rektoraty „etniczne”. W skład episkopatu USA wchodziło wprawdzie co najmniej kilku biskupów pochodzenia polskiego, jednakże zbyt mało – jak twierdzili księża polscy w USA – by przebić się z problemami tej mniejszości (byli to między innymi bp Stefan Woźnicki, a następnie oddany sprawie polskiej kard. Jan Król). Chodziło głównie o mianowanie ordynariuszy lub, co najmniej, ich biskupów pomocniczych polskiego pochodzenia, tam gdzie skupiska polskie stanowiły znaczący procent ludności (na przykład w archidiecezjach w Chicago i Detroit, w stanach: Pensylwania, Michigan, Nowy Jork, Massachusetts).

O potrzebie zorganizowania przez Kościół hierarchiczny sieci duszpasterskiej niech świadczą liczby parafii polskich lub placówek duszpasterskich w największych skupiskach polskich (dane za lata pięćdziesiąte): USA – 769 (w 1971 r. – ponad 1000), Francja – 110, Anglia – 70, Niemcy Zachodnie – 40 (w 1945 r. ponad 100). Ponadto istniały seminaria zakonne i świeckie. Ze specjalnego seminarium polskiego w Orchard Lake (Michigan), kształcącego polskich kapłanów do 1971 r., wyszło ponad 1500 księży. Najwięcej placówek naukowych przeznaczonych dla księży, w tym polskich, istniało oczywiście w Rzymie. Potrzeby duszpasterskie, wobec pojawiania się kolejnych fal emigrantów, były jednak olbrzymie. W latach siedemdziesiątych zaowocowało to napływem księży z Polski. Całą tą polityką personalną kierował prymas Polski.

W 1949 r., po śmierci kard. Augusta Hlonda, bp Gawlina został mianowany przez papieża Piusa XII stałym protektorem polskiej emigracji, rezydującym w Rzymie, w kościele i hospicjum św. Stanisława biskupa i męczennika. Rzym stał się drugą (obok Londynu) stolicą polskiego wychodźstwa, a świątynia przy via Botteghe Oscure miejscem obchodów rocznic narodo-religijnych, integrującym praktycznie wszystkich Polaków (oczywiście osobne miejsce należy się cmentarzom polskim, z nekropolią na Monte Cassino na czele). Po śmierci abp. Gawliny w 1964 r. opiekę duszpasterską nad wychodźstwem papież Paweł VI powierzył prymasowi Polski Stefanowi Wyszyńskiemu, który po latach pisał: „Za zgodą Stolicy Świętej ustanowiłem w Rzymie placówkę duszpasterską, która opiekowałaby się w sposób systematyczny Polonią zagraniczną. Na czele tej placówki postawiłem z woli Ojca św. Ks. Bpa Władysława Rubina”. Stało się to 15 listopada 1964 r. Ksiądz Rubin od 1953 r. był duszpasterzem Polaków we Włoszech. Późniejszy kardynał otrzymał tytuł Delegata Prymasa Polski ds. duszpasterstwa emigracji. W ciągu kolejnych lat odwiedził wszystkie większe skupiska polskie, a szczególnym sentymentem, z racji pochodzenia, darzył lwowiaków. Przewodniczył też organizowanemu na wychodźstwie przez wszystkie społeczności lokalne obchodom tysiąclecia chrztu Polski¹. Od 1980 r. funkcję delegata pełnił abp Szczepan Wesoły, który już od 1958 r. pracował przy abp. Gawlinie jako duszpasterz Polaków we Włoszech. Delegat odwiedzał nie tylko większe ośrodki polonijne we Włoszech, ale także te najodleglejsze, stare skupiska, na przykład w Brazylii (stan Parana i Rio Grande do Sul), czy też nowsze, w Kanadzie i Nowej Zelandii.

Przeniesienie znacznej części kompetencji na rzecz delegata nie oznaczało zaniku kontaktów kolejnych prymasów Polski z kapłanami i wiernymi Kościoła katolickiego, pozostającymi od lat poza granicami kraju. Prymasi Polski, tak kardynał Wyszyński, jak i od 1981 r. jego następcy, abp Józef Glemp (od 1983 r. kardynał), utrzymywali stały kontakt z Polonią.

Watykan wobec polskiego wychodźstwa

Nad rozwojem duszpasterstwa polonijnego czuwali także kolejni papieże, poczynając od Piusa XII. To za jego aprobatą prymas Hlond nominował rektorów w PMK, a bp Gawlina swych wikariuszy w Niemczech czy w Anglii. Gdy zatem Stolica Apostolska w sposób całościowy podjęła zagadnienie duszpasterstwa dla emigrantów, polska organizacja duszpasterska dawno już istniała. W 1952 r. papież Pius XII ogłosił specjalną konstytucję do episkopatów

„wolnego świata” (*Exul Familia*, 1951), z pouczeniem, by duszpasterstwo emigracyjne narodów „zza żelaznej kurtyny” cieszyło się ich specjalną troską (przy redakcji tego dokumentu pracował bp Gawlina). W 1970 r. Paweł VI wydał kolejny dokument (instrukcja o duszpasterstwie emigracyjnym *Pastorali Migratorum Cura* z 1969 r.). Nadawał on między innymi większą samodzielność Misjom. Kontakty między Stolicą Apostolską a duszpasterstwem polonijnym niepomrotnie ożywiły się od czasu pontyfikatu Jana Pawła II. Papież-Pielgrzym na swojej drodze wielokrotnie spotykał się z Polonią. Podczas spotkania z Polonią na Wyspach Brytyjskich w 1982 r. mówił: „Jest przecież coś szczególnego, co poniekąd nie pozwala o Was myśleć w kategoriach »emigracyjnych«. Nie można o Was myśleć, wychodząc z pojęcia »emigracja«; trzeba myśleć, wychodząc od rzeczywistości »Ojczyzna«. Ci, którzy tutaj znaleźli się w ramach wydarzeń wojennych, nie byli emigrantami. Byli Polską wyrwaną z własnych granic, z własnych pobojowisk. [...] Jesteście dla mnie przede wszystkim nie emigracją, ale przede wszystkim żywą częścią Polski, która nawet wyrwana z ojczystej ziemi, nie przestaje być sobą”.

Ambasadorzy RP przy Stolicy Apostolskiej

Pośród wszystkich papieży czasów powojennych w sposób szczególny o losie wychodźstwa pamiętał Pius XII. W kwietniu 1945 r. papież skrytykował ustalenia konferencji w Jałcie, dając jako przykład pogwałcenia idei samostanowienia narodów rozwiązanie kwestii polskiej. Potępił porwanie 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, krytykował rządy Anglosasów za zbyt uległą politykę wobec Związku Sowieckiego. W efekcie sprzeciwu wobec przyjętych przez moźnych tego świata rozwiązań politycznych Pius XII nie zerwał kontaktów dyplomatycznych z rządem polskim na wychodźstwie. W Londynie pozostał *chargé d’affaires* Stolicy Apostolskiej (pełnił jednocześnie funkcję posła przy rządzie brytyjskim), w Rzymie zaś nadal rezydował Kazimierz Papée, ambasador rządu II Rzeczypospolitej. Jego misja nie skończyła się nawet wtedy, gdy coraz trudniej było dociec, kogo ambasador reprezentuje (w 1954 r. doszło mianowicie do rozłamu, w wyniku którego zdecydowana większość wychodźstwa poparta niekonstytucyjnie władze, z Radą Trzech na czele). Wobec braku funduszy ambasada istniała tylko dzięki wsparciu Stolicy Apostolskiej, a także polskich biskupów – członków episkopatu USA, którzy od połowy lat pięćdziesiątych aż do śmierci ambasadora (w styczniu 1979 r.) za pośrednictwem Sekretariatu Stanu przekazywali polskiej placówce określoną sumę pieniędzy. Ambasada z roku na rok traciła, rzecz jasna, realne znaczenie, ale stanowiła ważny symbol, zwłaszcza dla państw, które utrzymywały stosunki dyplomatyczne jednocześnie z Watykanem i z rządem PRL. Kazimierz Papée niemal codziennie wysyłał raporty do „polskiego Londynu”, a także dostarczał Watykanowi informacje na temat wychodźstwa i kraju. Jako najstarszy stażem dyplomata był do 1959 r. dziekanem korpusu dyplomatycznego, miał własną rezydencję, samochód z kierowcą i flagą polską, a w końcu swoje miejsce (z klęcznikiem) w kościele polskim pod wezwaniem św. Stanisława. Papée był przyjacielem wielu dostojników watykańskich, w tym kolejnych papieży, głównie Pawła VI, z którym zdążył zawrzeć bliższą znajomość w czasie drugiej wojny światowej. Wtedy to przyszedł papież, Giovanni Montini, pełnił funkcję jednego z sekretarzy Piusa XII, a Kazimierz Papée w latach 1940–1944 był gościem Watykanu, co chroniło go przed ekstradycją z faszystowskich Włoch. Ambasada RP przy Watykanie istniała, z krótką przerwą po śmierci papieża Piusa XII, aż do jesieni 1972 r., kiedy to nawiązano oficjalne kontakty dyplomatyczne między stolicą Apostolską a rządem PRL.

¹ Do najbardziej okazałych należały obchody w USA, zorganizowane w dwóch etapach: 3 maja 1966 r., kiedy to prezydent USA ogłosił „dzień Polski”, oraz we wrześniu tego roku, gdy do Chicago przybył bp W. Rubin. Prymas Polski nie otrzymał paszportu.

WSPÓŁPRACA WYWIADOWCZA EMIGRACJI POLSKIEJ W LONDYNIE Z PAŃSTWAMI ZACHODNIMI W LATACH 1945–1954

Jedną z najważniejszych kwestii dla rządu RP na wychodźstwie było utrzymywanie politycznych i wojskowych kontaktów z ruchem oporu w kraju. Po cofnięciu uznania dla rządu Rzeczypospolitej przez mocarstwa zachodnie w lipcu 1945 r. utrzymywanie łączności z Polską stało się dużo trudniejsze.

Sprawa kontaktów między Londynem a krajem była po zakończeniu wojny zagadnieniem bardzo istotnym, jeżeli nie wręcz palącym. Ci, którzy trwali w oporze wobec „władzy ludowej” narzuconej przez obce mocarstwo, potrzebowali instrukcji, planów działania, informacji o sytuacji na świecie, pomocy przy ewakuacji z Polski osób zagrożonych aresztowaniami, wreszcie funduszy na działalność. Politycy i wojskowi polscy na obczyźnie z kolei potrzebowali informacji o sytuacji w kraju. Z uporem starano się zatem odtwarzać sieci kontaktowo-przerzutowe. Początkowo były one oparte przeważnie na kontaktach i wzorach z okresu wojny. Z własnych sieci oraz kanałów przerzutowych korzystały stronnictwa polityczne i struktury Polskich Sił Zbrojnych. Każdy z ośrodków dysponował oddzielną i niezależną siecią łączności. Niestety, coraz głębsza infiltracja aktywnych politycznie kręgów polskiego społeczeństwa przez bezpiekę nie pozwalała na długie i efektywne utrzymywanie siatek oraz kanałów łączności „polskiego Londynu” z krajem. Wraz z zakończeniem masowych migracji ludności rozpoczęto uszczelnianie granic Polski. W tym celu powołano między innymi Wojska Ochrony Pogranicza, które ściśle współpracowały z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego oraz analogicznymi służbami radzieckimi i czeskimi. Wspomniane czynniki wpłynęły na dezorganizację dotychczasowych metod łączności.

Związani z rządem RP w Londynie politycy i wojskowi stanęli wobec konieczności reorganizacji i stworzenia na nowo tajnych sposobów kontaktowania się z antykomunistycznym politycznym i zbrojnym ruchem oporu w kraju. Partnerem tej współpracy miała być konspiracja poakowska, a zatem organizacje takie jak NIE, Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj, Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” (WiN), a także separujące się od niej podziemie narodowe (Narodowe Siły Zbrojne, Stronnictwo Narodowe, Narodowe Zjednoczenie Wojskowe).

We wrześniu 1946 r. do Wielkiej Brytanii przybyli (za wiedzą służb brytyjskich) dwaj wystannicy WiN-u: Józef Maciołek i Stefan Rostworowski, którzy spotkali się z przedstawicielami wychodźstwa. Uzyskali obietnicę rządowych dotacji oraz podpisali umowę z jednym z najbardziej prężnych ugrupowań emigracyjnych – „Niepodległość i Demokracja” (NiD). Maciołek – szef Delegatury WiN na Zachodzie – pozostawał też w kontakcie z otoczeniem generałów Tadeusza Bora-Komorowskiego oraz Władysława Andersa aż do końca 1952 r., kiedy to okazało się, że tak zwana V Komenda WiN to element prowokacyjnej operacji MBP.



Karykatura Mieczysława Bermiana, „Nowe Widnokreęgi”, 30 września 1945 r.

Rząd londyński, który był głównym adresatem docierających z kraju informacji, nie był w stanie – także ze względów finansowych – samodzielnie utrzymywać siatki łączności z krajem. Wiadomo, że MI-5 i MI-6 (tj. brytyjski wywiad i kontrwywiad) od 1945 r. kontaktowały się ze Sztabem Naczelnego Wodza. Zdecydowano wówczas o przyjęciu brytyjskiej pomocy technicznej i finansowej w zamian za udostępnianie zdobytych w Polsce informacji. Analiza ujawnianych dokumentów WiN-u oraz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego potwierdza to w całej rozciągłości. W odtworzenie sieci łączności między Polską a ośrodkami politycznymi na emigracji były zaangażowane wywiady brytyjski oraz amerykański. Dzięki przychylności zachodnich ambasad oraz władz wojskowych w niemieckich strefach okupacyjnych nowo utworzone siatki mogły działać w miarę sprawnie.

Takie wsparcie było skutkiem zaostrzenia się stosunków w szeregach dawnej koalicji antyhitlerowskiej. Polska emigracja polityczna traktowana była przez Stany Zjednoczone

i inne państwa zachodnie zarówno jako istotny instrument w bieżącej walce z komunizmem, jak i potencjalna grupa przywódcza, która objęłaby władzę w kraju wyzwolonym spod dominacji ZSRR.

Dużą aktywnością, zwłaszcza w sferze przedsięwzięć wywiadowczych, wykazywali się Anglicy, którzy w 1947 r. podpisali umowę ze Zrzeszeniem WiN, jedną z najważniejszych organizacji konspiracyjnych w opanowanej przez komunistów Polsce. Szybko jednak pierwsze skrzypce także i w tej dziedzinie zaczęła grać utworzona w 1947 r. amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA). Amerykanie w sposób jawny (czemu między innymi służyły Komitet Wolnej Europy i Radio Wolna Europa) oraz nieoficjalny współpracowali z przedstawicielami różnych grup emigracyjnych; w tym także z Polakami. W 1948 r. przy CIA powstało Biuro Operacji Specjalnych, które zajmowało się antykomunistyczną propagandą, tajnymi akcjami, sabotażem, pomocą dla ruchów opozycyjnych i ugrupowań emigracyjnych. Szczególny wysiłek skierowano na wojnę psychologiczną, którą prowadzono przez radio oraz zrzuwanie ulotek.

Wysyłanie kurierów z Anglii przez emigracyjne ośrodki wojskowe i polityczne ograniczono do minimum w 1948 r. ze względów bezpieczeństwa i z uwagi na trudności w nielegalnym przedostaniu się do Polski. Mimo to kontakt nie został przerwany i różnego rodzaju wiadomości przenikały do Londynu. Były one cenne nie tylko dla wychodźstwa, ale także dla zachodnich wywiadów, dla których „żelazna kurtyna” stawała się przeszkodą coraz trudniejszą do pokonania.

W wyniku dalszego zaostrzania się stosunków politycznych pomiędzy Związkiem Sowieckim a Zachodem CIA zaczęła tworzyć w Niemczech ośrodki szkoleniowe dla agentów. Zachodnie wywiady chętnie wykorzystywały do swoich celów emigrantów, uchodźców lub dezertersów z krajów, które znalazły się za „żelazną kurtyną”. Już w latach 1945–1947 emisariusze SN próbowali stworzyć sieć delegatur w kraju. Doświadczenia te wpłynęły na wynik rozmów prowadzonych w USA. Najgłośniejszą sprawą z tym związaną była tak zwana afera Bergu, czyli rozpracowanie i ujawnienie przez warszawski wywiad charakteru współpracy części polskiej emigracji politycznej ze służbami amerykańskimi. Z inicjatywy działaczy Stronnictwa Narodowego zawarto w 1950 r. umowę z CIA, która chciała wykorzystać aparat łączności emigracji z krajem do celów wywiadowczych, oferując w zamian pomoc finansową. Do ośrodka szkoleniowego w miejscowości Berg w Niemczech Zachodnich przeniknęli agenci MBP i w styczniu 1953 r. propaganda komunistyczna ujawniła sensacyjne fakty. Nieprzypadkowo miało to miejsce kilka dni po zakończeniu wspomnianej już tutaj prowokacji z V Komendą WiN, stanowiąc kolejną z tak zwanych „gier operacyjnych” bezpieki prowadzonych na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Obie te akcje spowodowały liczne aresztowania w Polsce; w ich wyniku orzeczono kilkanaście wyroków śmierci.

Na podstawie analizy operacji związanych z infiltracją WiN-u oraz z ośrodkiem w Bergu MBP opracowało kilka podręczników szkoleniowych dla przyszłych funkcjonariuszy wywiadu. Znajdują się one obecnie w archiwum BUiAD IPN w Warszawie. W 1993 r. Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu zainteresowała się obiema sprawami. Wśród podejrzanych o prowadzenie gier z WiN-em i Bergiem wymieniano wówczas płk. Józefa Czaplickiego, płk. Leona Andrzejewskiego i ppłk. Mariana Reniaka (bohatera i autora szpiegowskich powieści z epoki PRL).

Dramatyczne porażki, takie jak afera Bergu, a także postępujące rozbitcie i niemoc rządu emigracyjnego czy wreszcie faktyczna likwidacja konspiracji w kraju spowodowały ostateczne przerwanie łączności między emigracją londyńską a opozycją w Polsce. Na pierwszy plan zaczęły się wysuwać ośrodki proponujące nowe, bardziej skuteczne formuły oddziaływania politycznego – Radio Wolna Europa oraz Instytut Literacki w Paryżu.

FALE EMIGRACJI ŻYDOWSKIEJ Z POWOJENNEJ POLSKI

Problematyka stosunków polsko-żydowskich w powojennej Polsce należy do tematów wywołujących – z różnych zresztą powodów – najżywsze zainteresowanie i najsilniejsze emocje. Przy okazji bowiem uzewnętrznia się tu zwykle sporo wzajemnych uprzedzeń i nie-mało złej woli. Fakty nie budzące wątpliwości dość starannie bywają mieszane z narostymi przez lata mitami i stereotypowymi ujęciami.

Wśród tematów szczególnie silnie zmistyfikowanych znajduje się emigracja żydowska z powojennej Polski. Należy przy tym wyraźnie stwierdzić, że wszystkie fale emigracji – niezależnie od innych czynników – były wywołane kolejnymi falami antysemityzmu gwałtownie narastającymi w latach 1945–1946, 1956–1957 i 1967–1968 oraz tym, co można by nazwać swoistym „dziedzictwem Holocaustu”. Od razu muszę wyjaśnić, co rozumiem przez to pojęcie.

Otóż dziesiątki, a może i setki tysięcy ocalałych wręcz cudem z Zagłady Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia po zakończeniu drugiej wojny światowej nie chciały mieszkać w kraju, który w ich pojęciu był jednym wielkim grobowcem milionów innych Żydów. Należy przy tym zachować wielką ostrożność, gdyż dane dotyczące liczby ofiar Holocaustu wśród polskich Żydów są mało precyzyjne i nierzadko sprzeczne ze sobą. W efekcie trudno jest zbilansować liczby osób zmarłych i zamordowanych, tych ocalałych w Związku Radzieckim, tych, które przeżyły na Zachodzie, i tych uratowanych w okupowanym kraju. O ile bowiem wiadomo, że przed wybuchem drugiej wojny światowej ludność żydowska (według kryterium religijnego) stanowiła blisko 10 proc. ogółu obywateli Rzeczypospolitej i wraz ze spolonizowanymi chrześcijanami mającymi jedynie żydowskich przodków liczyła łącznie około 3,5 mln, o tyle nie dysponujemy podobnymi danymi dla okresu powojennego. Wszelkie liczby mają w tym przypadku charakter co najwyżej szacunkowy i niejednokrotnie – wedle doraźnej potrzeby – były sztucznie zawyżane lub zaniżane. Najczęściej przyjmuje się, że po zakończeniu działań wojennych liczba ludności żydowskiej w Polsce wynosiła 25–400 tys.

Dodatkowo problem komplikuje fakt, że w tym samym czasie, gdy jedni Żydzi wracali z obozów czy byli przesiedlani ze Związku Radzieckiego do Polski w jej nowych granicach, inni – w mniej czy więcej legalny sposób – wyjeżdżali. Szacuje się, że tylko w latach 1945–1947 do obozów przejściowych dla uchodźców w Austrii, Niemczech i we Włoszech wyjechało z Polski 175 tys. Żydów. Na gwałtowny wzrost liczby wyjazdów w 1946 r. miały wpływ przynajmniej dwa czynniki: działalność w Polsce biur ułatwiających ludności żydowskiej wyjazd do Palestyny i fala gwałtownych antyżydowskich wystąpień, między innymi w Chełmie, Chrzanowie, Częstochowie, Kielcach, Krakowie, Radomiu i Rzeszowie.

Bez wątplenia najbardziej okrutny przebieg (42 osoby zabite) miał pogrom kielecki z 4 lipca 1946 r. Na marginesie warto przypomnieć, że niezależnie od istnienia różnych gorzej czy lepiej udokumentowanych spiskowych koncepcji dotyczących genezy i przebiegu tego pogromu, łączących zwykle tę tragedię z prowokacyjną działalnością radzieckich i pol-

skich służb specjalnych, pojawiła się także aberracyjna sugestia, iż rzeczywistymi inspiratorami pogromu byli działacze syjonistyczni, którzy w ten sposób chcieli wśród społeczności żydowskiej rozbudzić poczucie lęku i nakłonić kolejne tysiące Żydów do wyjazdu do Palestyny. Ostatecznie jesienią 1948 r. mieszkało w Polsce około 100 tys. Żydów.

Kolejna fala emigracji żydowskiej z Polski rozpoczęła się w 1956 r., kilka miesięcy przed Październikiem i powrotem do władzy Władysława Gomułki. W porównaniu z latami czterdziestymi zmieniło się sporo. Przede wszystkim w 1948 r. powstało państwo Izrael i stosunkowo wiele wyjeżdżających osób pragnęło uczestniczyć w procesie jego budowy. Nie wolno też jednak zapominać o wyraźnej w końcu lat czterdziestych zmianie kursu polskich władz państwowych wobec społeczności żydowskiej, a zwłaszcza środowisk syjonistycznych, których działalność została w praktyce zakazana. Warto pamiętać, że fali żydowskiej emigracji z drugiej połowy lat pięćdziesiątych towarzyszyły dwojakiego rodzaju komentarze: 1) Żydzi uciekają z Polski, gdyż boją się odpowiedzialności za swoje zbrodnie w okresie „błędów i wypaczeń”; 2) Żydzi wyjeżdżają z Polski, gdyż boją się polskiego antysemityzmu i tego, że właśnie na nich zostanie zrzucona cała odpowiedzialność za stalinizm w Polsce. Oba te teoretycznie przeciwstawne uzasadnienia odwoływały się do sfery emocji oraz do tej samej argumentacji: do poczucia strachu.

W tym samym czasie trwała repatriacja Polaków z ZSRR. Do końca marca 1959 r. powróciło do Polski 224 tys. osób, w tym około 40 tys. osób pochodzenia żydowskiego, z których większość nie pozostała w Polsce. W sumie w latach 1956–1960 wyemigrowało do Izraela blisko 48 tys. osób. W następnych latach liczba osób emigrujących tam radykalnie spadła i utrzymywała się na poziomie 500–900 wyjazdów rocznie. Nawet wojna sześciodniowa i nasilająca się w drugiej połowie 1967 r. „kampania antysyjonistyczna” niewiele tu zmieniły.

Trzecia, chyba najgłośniejsza fala emigracji żydowskiej z powojennej Polski miała się na dobre zacząć po Marcu. Przede wszystkim należy stwierdzić, że była ona mniej liczna, niż sądzili badacze, w tym i ja sam. Pierwotnie szacowano ją na około 20 tys., co wydaje się liczbą zawyżoną, skoro w okresie nasilonych wyjazdów do końca sierpnia 1969 r. „organa paszportowe przyjęły podania dotyczące wyjazdu 11 185 osób”. Warto przy tym pamiętać, że nie wszystkie osoby ubiegające się o wyjazd otrzymywały „dokument podróży”, choć – przynajmniej trzeba – odmów było relatywnie niewiele. Zresztą pomarcowa emigracja nie skończyła się przecież w 1969 r., lecz trwała do początku lat siedemdziesiątych. Wydaje się, że w sumie wyemigrowało więc wtedy około 15 tys. osób.

O niezwykłej randze emigracji pomarcowej przesądziły dwa inne czynniki, a więc nie jej rozmiary. Przede wszystkim wyjeżdżali wtedy z Polski ludzie wykształceni. W informacji biura paszportów czytamy, że wśród 9570 osób dorosłych ubiegających się o wyjazd wyższym wykształceniem legitymowało się 1823, a dalszych 944 studiowało. W tym samym dokumencie podano, że w gronie osób pragnących wtedy emigrować do Izraela (można było podawać tylko taki cel wyjazdu, nawet jeżeli wiadomo było, iż ktoś w ogóle nie zamierza tam jechać) znalazło się 217 byłych pracowników szkół wyższych i 275 osób pracujących wcześniej w różnego rodzaju instytucjach naukowych. Ogromne straty poniosła wtedy również polska kultura. Była to więc jednoznacznie emigracja inteligencka, choć zarazem nie wolno zapominać, że wśród wyjeżdżających wówczas znalazło się także kilkaset osób, które w okresie stalinowskim pracowały w aparacie bezpieczeństwa, informacji wojskowej, wymiarze sprawiedliwości, na „froncie propagandowym”, w administracji państwowej i aparacie partyjnym, dopuszczały się różnych niegodziwości, a niekiedy i zbrodni. Wiadomo było, że emigrując, unikną odpowiedzialności za swoje czyny.



Plakat filmowy J. Flisaka

Drugim czynnikiem, który spowodował, że emigracja pomarcowa uchodzi za tak niezwykłą, był towarzyszący jej klimat. Żydzi i Polacy żydowskiego pochodzenia decydowali się na emigrację pod presją. Decyzja o wyjeździe zawsze była podejmowana w dramatycznych okolicznościach. Stawała się tym trudniejsza, że wyjeżdżający wiedzieli, iż nigdy nie będą mogli tutaj przyjechać. Rozpadały się więc małżeństwa, kończyły przyjaźnie, zdarzało się wcale nie tak rzadko, że część rodziny emigrowała (na przykład rodzice lub dzieci), a druga część pozostawała w Polsce. W przypadkach skrajnych dochodziło do samobójstw i kompletnego załamania nerwowego. Dla tysięcy ludzi była to wielka osobista tragedia. Trzeba też pamiętać, że w latach 1968–1969 Polska na Zachodzie cieszyła się jak najgorszą opinią jako kraj antysemicki i ksenofobiczny. Nawet jeżeli nie wszystkie zarzuty wysuwane wówczas były zasadne, to przecież nie sposób zaprzeczyć, że kampania „antysemicka” i będąca jej następstwem wymuszona emigracja należą do najczarniejszych kart w dziejach PRL.

MILION STRACONYCH POLAKÓW

Wśród uzasadnień stanu wojennego poczesne miejsce zajmował argument o potrzebie ochrony tak zwanej substancji narodu polskiego. Wyprowadzenie wojska polskiego na ulice i śmierć strajkujących górników zapobiegły jakoby nieporównanie większemu rozlewowi krwi, stratom znaczącym demograficznie. Tymczasem lata osiemdziesiąte przyniosły straty ludnościowe liczone w setkach tysięcy ludzi.

Miłośnicy sensacji historycznych będą zawiedzeni. Nie mam do przekazania żadnych wstrząsających i krwawych tajemnic. Fakty były powszechnie znane. Chcę mianowicie przedstawić pokrótce emigrację lat osiemdziesiątych. Zajmę się długoterminowym przesiedlaniem się za granicę, tak zwaną emigracją na stałe, która sprawia, że choć kraj unika rzezi, to jego mieszkańców ubywa. W taki właśnie sposób Polska utraciła w latach osiemdziesiątych ponad milion mieszkańców. Emigracja o takiej skali jest godna uwagi sama w sobie, ale warto też się zastanowić, co mówi ona o swoich czasach.

Po pierwsze, przez emigrację doszło do znaczącego ubytku ludnościowego, w tym wyludniania się pewnych obszarów Polski (Opolszczyzna utraciła 20 proc. mieszkańców). Po drugie, emigranci znikli też z gospodarki narodowej, a byli to przeważnie ludzi w wieku największej aktywności zawodowej. Po trzecie, miała miejsce ucieczka mózgow, czyli odpływ ludzi wykształconych powyżej przeciętnej. W tym wymiarze ubytek był jeszcze bardziej znaczący niż w wyniku dwu poprzednich fal emigracji. W latach 1987–1988 więcej osób z wyższym wykształceniem emigrowało z Polski, niż opuszczało mury polskich uczelni.

Emigracja lat osiemdziesiątych była zjawiskiem masowym, ale składały się na nią poszczególne decyzje jednostek i rodzin. Opuszczenie swojego kraju, stron rodzinnych, rodziny i przyjaciół i osiedlenie się w kraju, który być może jest atrakcyjny, oferuje lepsze warunki życia i pracy, ale jednak jest obcy, to nie jest decyzja błaha. Zatem w tysiącach domów, wieczorem przy kolacji mąż z żoną zastanawiają się – co zrobić? Jaką podjąć decyzję? Każdy taki przypadek ma swoje szczególne, indywidualne uwarunkowania, ale masowe występowanie takich przypadków mówi nam wiele o społeczeństwie i kraju, z którego pochodzą emigranci. Każda rodzina rozważająca wyjazd na stałe i wreszcie się nań decydująca jest niczym termometr społecznych nastrojów, ocen warunków życia i wyobrażeń przyszłości. Był to swego rodzaju sondaż opinii, trudniejszy do interpretacji niż odpowiedzi w kwestionariuszach, ale też bardziej znaczący, bo odpowiedzi wyrażały się w czynach zasadniczo odmieniających życie respondentów.

Nowa emigracja polityczna

Chciałbym zwrócić uwagę na dwie szczególne grupy emigrantów, a następnie krótko przedstawić emigrację lat osiemdziesiątych jako całość. Chronologicznie pierwsi byli ci, którzy wyjechali jeszcze przed 13 grudnia, a następnie nie wrócili, chociaż można podejrzewać zasadnie, że wielu miało zamiar wrócić. Zmienili zdanie w grudniu 1981 r. i w następnych miesiącach. Czasami było to odłożenie powrotu na później, które ostatecznie przeciągnęło się bezterminowo. To oni zapełnili obozy przejściowe, takie jak Traiskirchen w Austrii,

Friedland w RFN, Latina we Włoszech, skąd stopniowo rozjechali się po świecie, osiadając wreszcie w Niemczech Zachodnich, USA czy Australii. Było takich osób około 160 tys., w tym około 100 tys. wyjechało w ciągu ostatnich sześciu miesięcy poprzedzających stan wojenny.

Druga grupa jest znacznie mniejsza, ale znacząca dla ówczesnej polityki władz PRL. To ci, którzy wyjechali w stanie wojennym w ramach specjalnej akcji MSW „umożliwiania emigracji” internowanym, byłym internowanym i innym działaczom opozycyjnym oraz „osobom z przeszłością kryminalną”. Rozpoczęto ją na polecenie ministra Czesława Kiszczaaka na początku 1982 r., najwyraźniej w przekonaniu, że lepiej się pewnych ludzi pozbyć z kraju, niż ich pilnować na miejscu. Ponieważ wiadomo, że przynajmniej niektórych działaczy opozycyjnych SB „gorąco zachęcała” do wyjazdu, to akcję można określić jako formę pozasądowej banicji, szczególne połączenie kary wygnania z nagrodą – zezwoleniem na wyjazd, które było wszak dobrem rzadkim i przez wielu pożądanym. Dodajmy, że pomysł nie był nowatorski, ale miał precedens na socjalistycznej Kubie, gdzie w pewnym momencie wypuszczono do USA większą liczbę niezadowolonych, dotychczas do nich zwolnionych z więzień kryminalistów. W latach 1982–1988 w ramach tej akcji wystąpiło o zezwolenie na wyjazd 9500 osób, zgody uzyskało 6800, a ostatecznie wyjechało 4300. Wśród emigrantów znalazło się 2200 (byłych) internowanych i 4000 członków ich rodzin, 815 działaczy opozycji i 1215 członków ich rodzin oraz 410 kryminalistów i 510 członków ich rodzin. Olbrzymia większość wniosków została złożona w czasie stanu wojennego: 7500 osób złożyło wnioski, a około 3000 wyjechało w latach 1982–1983. Zwróćmy uwagę, że wiele osób, które złożyły wnioski i dostały zgodę, mimo to nie opuściło Polski. Moje wyjaśnienie tego faktu jest takie, że jeżeli kogoś SB bardzo męczyła, to on w końcu występował o zgodę i miał przynajmniej na rok spokój. Mógł mówić, że się przygotowuje, i przynajmniej przez jakiś czas żyć w miarę spokojnie.

Patrząc na ogół emigrantów lat osiemdziesiątych, należy ich podzielić przede wszystkim wedle stopnia legalności wyjazdów – na tych, którzy uzyskali dokumenty emigracyjne (paszport lub tak zwany dokument podróży) i figurują w oficjalnych statystykach jako „wymeldowani na pobyt stały”, oraz tych, którzy wystąpili o zwykły paszport, deklarując zamiar krótkiego wyjazdu, i nie wymeldowali się, ale do PRL już nie wrócili. Znacznie więcej osób należy do tej drugiej grupy. Dzięki temu, że MSW jako najważniejsze ministerstwo w PRL było względnie dobrze finansowane i jako jedno z pierwszych skomputeryzowane, można w przybliżeniu odtworzyć także liczebność tej drugiej grupy. Dane o ruchu granicznym spływały do centrali MSW, gdzie można je było porównać z danymi o deklarowanym wyjeździe, w tym odnotować, jak wiele osób nie powróciło. Barbara Sakson, statystyk z SGH, dokładnie te dane przeanalizowała, i dzięki temu o emigracji lat osiemdziesiątych wiemy dość dużo. Nie tylko o emigracji legalnej, ale też o emigracji tych, którzy posługiwali się zwykłymi paszportami.

Wiemy zatem, że pod koniec istnienia PRL przebywało za granicą blisko 1,1 mln osób, których zadeklarowany termin powrotu już minął, oraz blisko 110 tys. emigrantów legalnych, czyli w sumie około 1,2 mln ludzi. Wśród przedłużających pobyt około 700 tys. osób pozostawało za granicą od ponad roku, czyli grubo ponad zadeklarowany czas nieobecności. Ponieważ w III Rzeczypospolitej nie prowadzono tak dokładnej statystyki wyjazdów, nie wiemy, ilu spośród tych, którzy wyjechali pod koniec lat osiemdziesiątych, pozostało za granicą na dobre, a ilu powróciło na przykład w 1990 r. Musimy zatem szacunek emigracji „na stałe” nieco pomniejszyć w stosunku do sumy ponad 1,2 mln legalnych i nielegalnych migrantów z końca 1989 r. Milion, to jest blisko 3 proc. ówczesnej populacji Polski, będzie zatem liczbą bezpieczną, raczej zaniżoną niż zawyżoną.

Liczby wyjazdów w poszczególnych latach dekady były bardzo różne. Rok 1981 przyniósł rozluźnienie polityki paszportowej i falę wyjazdów, z których wspomniane już około 160 tys. osób nie powróciło po 13 grudnia. Stan wojenny przyniósł gwałtowny spadek liczby wyjazdów; wspomniana akcja MSW jest ciekawa jako wyraz polityki władz, ale zasadą ówczesną było zamknięcie granic. Po mniej więcej dwu latach rosnące tendencje migracyjne powracają, a od lat 1986–1987 nabierają znacznej dynamiki. Było to wynikiem rozluźnienia polityki paszportowej – szeregu decyzji, które wpisują się w postępujący proces erozji władzy przyspieszony reformami Michaiła Gorbaczowa. Co ciekawe, MSW i zwłaszcza Biuro Paszportów było za raczej za liberalną polityką paszportową. Władze polityczne zaś ustępowały powoli, motywowane, jak się zdaje, chęcią „dania czegoś ludziom”, w warunkach gdy rezerwy materialne zanikały, oraz skuteczną presją ze strony RFN. Za rządów Mieczysława Rakowskiego w 1989 r. państwo praktycznie wycofało się z kontroli wyjazdów. Ponieważ liberalizacja dotyczyła w pierwszym rzędzie wyjazdów czasowych, a trudniej było uzyskać zgodę na emigrację niż na wyjazd turystyczny, naturalną konsekwencją niespójności tej polityki była tendencja do emigracji pod pozorem odwiedzin rodziny czy wycieczki do Włoch. Największe rozmiary osiągnęła emigracja w latach 1988–1989, kiedy to przybrała rozmiar prawdziwego exodusu, dając ponad połowę całkowitej liczby emigrantów w dekadzie.

Wyjeżdżali przeważnie ludzie w wieku aktywności zawodowej. Nadreprezentowana była zwłaszcza grupa w wieku 25–44 lata, zaś znacząco mniejsze niż w ogóle ludności były grupy w wieku do 17 i od 55 lat. Byli to ludzie znacznie lepiej wykształceni niż ogół Polaków (w szczególności 39 proc., czyli blisko dwa razy tyle co w ogóle ludności, miało wykształcenie przynajmniej średnie). Tak zwany kapitał ludzki trudno jest mierzyć, ale jego strata była na pewno olbrzymia. W latach osiemdziesiątych opuściło Polskę między innymi prawie 20 tys. inżynierów oraz blisko 9 tys. nauczycieli i wykładowców akademickich.

Inaczej niż we wcześniejszej historii emigracji z Polski, emigranci lat osiemdziesiątych pochodzili przeważnie z miast. Kilka województw – opolskie, katowickie, gdańskie – wyróżniało się szczególnie intensywnym odpływem. W czołówce znalazły się też duże miasta, jak Warszawa czy Wrocław. Geograficzna koncentracja emigracji w kilku województwach ma związek z kierunkami emigracji – równie selektywnymi. Ponad połowa emigrantów kierowała się do RFN, gdzie większość z nich uzyskała następnie status *Aussiedlera*, który dawał im niemieckie obywatelstwo, a także różne formy wsparcia z kasy publicznej.

Przyczyny nowej emigracji

Jeśli chodzi o przyczyny tej emigracji, to nie można powiedzieć, że głównym motywem wyjazdu były prześladowania polityczne czy obawa przed nimi, zwłaszcza że liczba emigrantów rosła w czasie, gdy represyjność systemu malała. Pomijając ewidentne przypadki uchodźstwa politycznego czy wspomnianych działaczy „Solidarności” zmuszonych do wyjazdu, emigracja lat osiemdziesiątych była w swej masie polityczna ze względu na szczególną naturę państwa komunistycznego. Państwo takie stara się poddać władzy politycznej różnorakie sfery życia społecznego, w szczególności zaś gospodarkę, a tym samym upolitycznia pośrednio ekonomiczne i inne czynniki emigracji. Znosząc swobodę działalności gospodarczej, biorąc na siebie rolę organizatora i właściciela gospodarki narodowej, w tym faktycznego pracodawcy olbrzymiej większości pracowników najemnych, państwo nadaje polityczny wymiar zachowaniom, które w innych warunkach trudno wiązać z polityką.

Gdybym miał najzwężej określić motywy emigrantów, wskazałbym na powszechne poczucie deprivacji – poczucie pozbawienia czegoś ważnego, wydziedziczenia z czegoś. Dy-

namika wyjazdów lat osiemdziesiątych oddaje nie tylko fluktuacje polityki paszportowej i odczuwaną dotkliwie mizериę gospodarczą. W latach osiemdziesiątych nie tylko żyło się biedniej i gorzej niż na Zachodzie czy w Polsce lat siedemdziesiątych, ale nieporównanie silniejsze i powszechniejsze niż kiedykolwiek w PRL było przekonanie o takim stanie rzeczy i braku lepszych perspektyw. Jest to swoisty paradoks, ale poczucie utraty ojczyzny, właściwe wielu emigrantom, poprzedzało w tym przypadku fakt udania się na obczyznę. Ojczyzna to jest nie tylko krajobraz i język, to jest też poczucie, że jest się u siebie, a tego właśnie coraz bardziej brakowało. Stan wojenny niewątpliwie się do tego przyczynił. Chcę jeszcze podkreślić słowo „perspektywy”. Myślenie w kategoriach przyszłości i rodziny jest dla zrozumienia emigrantów bardzo ważne. Emigranci są gotowi znosić niepewność życia na obczyźnie, utratę dotychczasowej pozycji społecznej i ciężką pracę w Chicago zamiast w Katowicach, bo myślą o przyszłości i o swoich dzieciach.

Poczucie deprywacji zyskało w latach osiemdziesiątych silny akcent polityczny: nie tylko nie mam tego, czego pragnę, ale jestem tego *pozbawiony* nie ze swojej winy, ale z racji tego, w jakim kraju (systemie) żyję. Pod rządami partii komunistycznej ludność była pozbawiona swobód ekonomicznych, czyli olbrzymiego pola budowania życia swojego i swojej rodziny, swobód politycznych, czyli możliwości zmiany tego stanu rzeczy, oraz swobody wypowiedzi, czyli nawet możliwości publicznej krytyki tego stanu. Masowa emigracja jest w takich warunkach głosowaniem nogami.

Z europejskiego czy globalnego punktu widzenia emigracja oznacza przesunięcie, a nie ubytek demograficzny czy stratę kapitału ludzkiego. Natomiast z perspektywy interesów narodowych strata jest oczywista. Nie miała część „substancji”, od której zacząłem referat, po prostu sobie poszła – opuściła Polskę i stopniowo wrasta w substancję innych narodów. Jest to wielka odpowiedzialność przywódców państwa, jeśli tworzą lub utrzymują taki porządek, w którym zwykłe, zasadne dążenia zwykłych ludzi do tego, żeby zapewnić godziwe życie sobie i godziwą przyszłość dla swoich dzieci, mijają się z interesem narodowym.

Referat wygłoszony 13 grudnia 2001 r. w Warszawie, na sesji naukowej zorganizowanej przez Biuro Edukacji Publicznej IPN „Stan wojenny. Spojrzenie po dwudziestu latach”.



Demonstracja „Solidarności” – 1 maja 1989 r., Warszawa (Fot. K. Findziński)

OBÓZ POLSKI W NIEDERLAHNSTEIN W LATACH 1945–1946

Koniec wojny zastał Polaków w różnych miejscach świata. Część z nich przebywała w Niemczech, gdzie znaleźli się przede wszystkim jako więźniowie i przymusowi robotnicy.

Pierwsze transporty Polaków do obozu wysiedleńczego w Niederlahnstein (3 km od Koblencki) przybyły 15 czerwca 1945 r. z Frankfurtu nad Menem. Większość przyjezdnych stanowili więźniowie obozów Römerstadt i Sachsenhausen. Kilka dni później do kilkusetosobowej grupy dołączyli byli robotnicy przymusowi z miejscowości: Hanau i Limburg.

Akcję transportową zorganizowali Amerykanie przy współpracy Brytyjczyków. Polacy nie byli jedynymi przesiedleńcami. Obok nich do Niederlahnstein przybyli: Włosi, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Czesi i Estończycy.

Już trzeciego dnia od rozpoczęcia transportu liczba Polaków osiągnęła stan 3352 osób, co znacznie skomplikowało sytuację aprowizacyjną i bytową. Większość wysiedleńców umieszczono w koszarach po oddziałach Wehrmachtu, jednak najlepsze budynki wcześniej zajęli już Włosi, których było ponad 3,5 tys. Dla Polaków pozostawiono garaże, strychy, stajnie, piwnice oraz korytarze. Różnice w traktowaniu poszczególnych grup narodowościowych przez władze brytyjskie – początkowo zarządzające obozem w Niederlahnstein – doprowadziły do antagonizmów. Najbardziej zaogniły się relacje z Włochami, dochodziło do wielu kłótni, które często kończyły się przepychankami. Ostatecznie, aby doprowadzić do normalizacji sytuacji w obozie, w połowie września 1945 r. wszystkich Włochów wysłano do innych ośrodków. Jednak „na pożegnanie” zdewastowali oni wiele pomieszczeń. Nowi właściciele koszar rozpoczęli kapitalny remont. Naprawiono dachy, odmalowano pokoje i wstawiono okna. Dokończono również budowę ołtarza polowego i sceny teatralnej, a w październiku oddano do użytku kaplicę. Przy tej ostatniej inwestycji bardzo wyróżnili się polscy harcerze.

Z początkiem listopada 1945 r. do obozu z wizytą przybył nuncjusz papieski, owacyjnie przyjęty przez społeczność polską. Nabożeństwo w nowej kaplicy poprowadził kapelan obozowy ks. Jurga.

Zmiany w administracji obozu

Początkowo administrację obozową – jak już wspomniano – tworzyli przedstawiciele armii brytyjskiej, jej komendantem był ppłk O'Brien. Z końcem czerwca 1945 r. władze brytyjskie zastąpiła administracja francuska. Obóz wysiedleńców w Niederlahnstein przyporządkowano obszarowi północnemu francuskiej strefy okupacyjnej. Jego komendantem został płk. Griolet, a oficerem łącznikowym por. Gardien, który ściśle



W stołówce prowadzonej przez UNRRA (fot. ze zbiorów autora)

współpracował z polską administracją obozu – kpt. Włodzimierzem Krygierem, por. Hauboldem (oficerowie łącznikowi), kierownikiem obozu Mieczysławem Zboralskim oraz z jego zastępcą, Stanisławem Smosarskim.

Pieczę nad Polakami przejęła UNRRA. Jej pracownikami w Niederlahnstein byli: Truchet, Le Goff i Rolland. Francuzi wykazali dużo dobrej woli i popierali większość polskich inicjatyw kulturalnych oraz gospodarczych. Szczególną opieką objęto polskie dzieci, dbając o ich edukację i zdrowie. Dzięki staraniom pani Le Goff do obozu trafiały trudno dostępne leki i ubrania dla małych podopiecznych.

Harczerze w Niederlahnstein

Polskie organizacje harcerskie w Niemczech rozwijały się w sposób żywiołowy, włączali się do nich, oprócz przedwojennych instruktorów, ludzie wcześniej nie związani z tym ruchem. W czerwcu 1945 r. w północnej strefie okupacji francuskiej podjęli działania harcerze skupieni w obozie „Gniezno”. Ośrodkowi temu podporządkowano poszczególne drużyny działające w obozach dla wysiedleńców, rozrzuconych na obszarach nieopodal Koblencji. Najaktywniejsi byli: phm. Stanisław Letkowski, który w latach 1945–1946 kierował Choraągwią Harcerzy i często gościł w Niederlahnstein, hm. o. Bogdan Czarnota oraz ks. Józef Pućka. W obozie w Niederlahnstein przebywało ponad 100 harcerzy. Podzielono ich na drużyny, w tym dwie żeńskie. Młodszą grupę harcerek prowadziła Alicja Kujawa, starsze dziewczęta przejęła Władysława Walewska.

Młodzież polska w obozie Niederlahnstein wywodziła się z różnych środowisk. Największą grupę stanowili chłopcy i dziewczęta z niewielkich miast oraz wsi, mniej było młodych ludzi z Warszawy i jej okolic oraz innych większych miast Polski. Do Nadrenii przybywali nierzadko wraz z rodzicami i kierowano ich do pracy w zakładach przemysłowych. Następną grupę

tworzyli żołnierze AK, którzy do Niederlahnstein trafili wprost z obozów jenieckich. Początkowo powstańcy warszawscy byli najbardziej rozgoryczeni i butni. Do byłych prześladowców odnosili się z pogardą, usprawiedliwiali swoje postępowanie doświadczeniami okupacyjnymi i pamięcią o tragedii Warszawy. Byli równocześnie grupą bardzo przedsiębiorczą. W pierwszym okresie zarzucano im liczne kradzieże oraz rozboje dokonywane głównie na ludności niemieckiej. W tych warunkach polskie władze podjęły wiele działań mających zapewnić porządek w okolicy. Bezpieczeństwo przywróciły oddziały wartownicze kierowane przez komendanta policji obozowej, Zygmunta Makowskiego. Wobec rodaków podejrzanych o ciężkie przestępstwa nie stosowano taryfy ulgowej, lecz przekazywano ich stronie francuskiej. Ostatnią grupę stanowili więźniowie obozów koncentracyjnych, w przeważających wypadkach chorzy i wycieńczeni. Wielu z nich, mimo starań dr Staweckiej-Haubold, zmarło w miejscowym szpitalu.

Pomimo rozmaitych trudności życie Polaków w obozie nabierało barw. Działy przedszkole i szkoła, chór oraz grupa teatralna, organizowano imprezy sportowe. Najwięcej kibiców i naśladowców zyskał piłkarski klub sportowy „Polonia”, założony 28 czerwca 1945 r.

Harcerze chętnie pracowali na rzecz obozowej społeczności. Czynili to wbrew zakazom działaczy UNRRA, którzy uważali, że praca młodocianych jest niewskazana i szkodliwa. Tego rodzaju działalność była jednak dobrowolna i w wielu przypadkach wzmacniała dyscyplinę. Chłopców zatrudniano na ogół w stolarni, gdzie zajmowali się wyrobem zabawek, w warsztacie szewskim i w kuchni. Dziewczęta natomiast część wolnego czasu spędzały w szwalni oraz w stołówce, wydając posiłki.

Powrót do Polski

W czerwcu 1946 r. w Niederlahnstein do wyjazdu przygotowano kilka transportów przesiedleńców. Całą procedurę zarządzały władze francuskie, które kontaktowały się z rządem polskim w Warszawie. W obozie powstały listy osób wyrażających chęć powrotu do kraju, co doprowadziło do widocznych podziałów w obozowej społeczności. Decyzje o wyjeździe najszybciej podejmowały osoby młode, przed wojną mieszkające w centralnych rejonach Polski. Najwięcej obiekcji miało środowisko kresowiaków, gdyż ich rodzinne tereny pozostawały w granicach ZSRR. Tylko nieliczni zdecydowali się na osiedlenie na tak zwanych ziemiach odzyskanych.

Pierwsze transporty ruszyły już w grudniu 1945 r., wysłano wówczas 54 dzieci w wieku szkolnym i dziesięcioro przedszkolaków. W grupie tej znaleźli się również niektórzy komendanci drużyn harcerskich i ich podopieczni. Wiosną 1946 r. wznowiono akcję, tym razem do wyjazdu wytypowano całe rodziny i osoby, które odnalazły w Polsce swych bliskich. Obóz opuścili także pracownicy zakładów i osoby zatrudnione przez UNRRA. 30 czerwca zapadła decyzja o odejździe harcerskiej komendy drużyn kobiecych. Skład pociągu liczył prawie 20 wagonów towarowych, ponieważ do transportu zgłosiło się też wielu dorosłych. Całość ubezpieczali żołnierze amerykańscy, gdyż przesiedleńcy obawiali się grabieży ze strony Armii Radzieckiej. Po wielu wcześniejszych przykrych incydentach pociągi z Niederlahnstein kierowano ku granicy szwajcarskiej, a później przez Austrię, Czechosłowację – czyli z pominięciem strefy okupacji radzieckiej – docierały one do Polski. Transport z 30 czerwca ruszył przez Offenburg i 5 lipca pod eskortą piechoty amerykańskiej wjechał na



Komenda żeńskich drużyn harcerskich w Niederlahnstein (fot. ze zbiorów autora)

stację w Morawskiej Ostrawie. Pociąg po krótkim postoju w Czechosłowacji – w dalszym ciągu pod nadzorem amerykańskim – dotarł do Dziedzic. Na Śląsku przesiedleńcami zajęły się władze polskie, wyznaczając do ich osłony funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Wojska Polskiego.

Masowe akcje repatriacyjne z Niemiec spowodowały zmiany w dotychczasowym funkcjonowaniu tamtejszych ośrodków polonijnych. Najbardziej widoczne przeobrażenia zaszły we francuskiej strefie okupacyjnej. Liczba Polaków zmniejszyła się niemal o 70 proc. i pod koniec 1946 r. wynosiła 20 tys. W obozie w Niederlahnstein pozostało niespełna 1,5 tys. osób, dlatego alianci przystąpili do łączenia polskich obozów. Podobnie postępowano z drużynami harcerskimi, ale kontrolę nad tymi działaniami zachowała strona polska. W strefie francuskiej zlikwidowano Chorągiew Harcerzy, a na jej miejsce powołano Inspektorat Harcerski Okupacji Francuskiej. Centrala inspektoratu mieściła się w Monachium, natomiast działaniami reorganizacyjnymi kierował pfm. Józef Sporny. Powstały trzy hufce o nazwach: „Ziemie Wschodnie” (dawny obóz „Gniezno”), „Poznań” (grupował harcerzy z obozu Pfullingen) oraz „Monte Cassino” (obóz w Schwenningen).

W latach 1945–1946 z Niederlahnstein do Polski powróciło kilkunastu harcerzy wraz z opiekunami. Wiele z tych osób już w nowych realiach politycznych włączyło się do pracy w strukturach ZHP, co miało niewątpliwie wpływ na funkcjonowanie powojennego harcerstwa i jego odbiór społeczny.

ŚLĄZAK DO WYSIEDLENIA

„[...] NA BOGA ŻYWEGO DO NIEMIEC PÓJŚĆ NIE CHCĘ I RACZEJ WOLĘ UMRZEĆ CHOĆBY GWAŁTOWNĄ ŚMIERCIA, ALE W OJCZYŹNIE MOJEJ...” – te dramatyczne słowa znalazły się w telegramie, który 39-letni ksiądz Roman Kopyto wysłał 2 sierpnia 1946 r. z punktu etapowego w Głubczycach, gdzie czekał na wysiedlenie do Niemiec. Jego historia obrazuje tragedię wielu Górnoszlązaków w powojennej ojczyźnie.

Pierwsze miesiące po wojnie w byłym województwie śląskim przyniosły przede wszystkim selekcję narodowościową mieszkańców opartą na radykalnych zasadach rozliczania z przynależności do niemieckiej volkslisty. Jednak różnica między Niemcem a Polakiem na tym terenie nie była zbyt czytelna. Żyli tutaj ludzie władający zarówno językiem niemieckim, jak i polskim (gwarą śląską). Wielu Górnoszlązaków nie czuło więzów narodowych ani z Niemcami, ani z Polską, ceniąc sobie przede wszystkim związki lokalne i rodzinne. Obowiązkowy wpis na volkslistę wymuszał jednoznaczną deklarację, co w konsekwencji prowadziło do szykan (najpierw ze strony Niemców, po wojnie ze strony władz komunistycznych). Aby uchronić księżę diecezji katowickiej przed masowym wysiedleniem, biskup Stanisław Adamski w porozumieniu z rządem RP w Londynie wezwał ich do zarejestrowania się do niemieckiej grupy narodowościowej.

Dla osób pochodzących spoza Śląska takie postrzeganie spraw narodowościowych zakrawało na zdradę. W oczach Polaków mieszkańcy Górnego Śląska byli osobami co najmniej podejrzanymi. Dlatego, w sytuacji powszechnej nagonki na Niemców i kierowania podejrzeń wobec prawie wszystkich autochtonów, wszelkie donosy o sprzyjaniu okupantowi w czasie wojny kończyły się zwykle umieszczeniem zadenuncjowanego w obozie. Często powodem takich donosów były zatargi sąsiedzkie, rodzinne czy też chęć zagarnięcia majątku. Decyzją nowych władz wpisani do III i IV grupy musieli złożyć deklaracje wierności, natomiast osoby posiadające II grupę volkslisty podlegały sądowym procesom rehabilitacyjnym, a do momentu rehabilitacji miały przebywać w obozach pracy. Wpisani do I grupy volkslisty, a także negatywnie zweryfikowani, byli wysiedlani.

Akcja wysiedlania nie ominęła duchownych. Kościół katolicki miał mieć bowiem jednoznacznie polskie oblicze. W styczniu 1946 r. w województwie śląskim przeprowadzono akcję „oczyszczania” terenu z niemieckich księży i zakonów. I podobnie jak w przypadku ludności cywilnej, nie ustrzeżono się poważnych błędów, nadużyć i krzywdzących decyzji.

Ofiarą niezrozumienia złożonej sytuacji Kościoła katolickiego na Śląsku oraz nadużyć w akcji selekcji narodowościowej był między innymi ks. Roman Kopyto. 17 stycznia 1946 r. został wezwany i przesłuchany w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach. Jak wynika z protokołu, nie ukrywał on faktu prowadzenia w parafiach w okresie przedwojennym i w czasie wojny kościelnych organizacji dla mniejszości niemieckiej. Przed wojną w wielu parafiach na Górnym Śląsku kapłani obejmowali swą postugą wszystkich wiernych, bez względu na przynależność narodową. Ksiądz Kopyto w czasie przesłuchania przypominał swoją pro-polską działalność, do której zaliczył założenie polskiej Krucjaty Eucharystycznej i materialną pomoc Polakom. Większość postawionych przez urzędników pytań dotyczyła jego pracy

w parafii w Radzionkowie w latach 1932–1935. Proboszczem był tam wówczas ks. Józef Knosata, którego środowisko nauczycielskie oskarżało o proniemieckie nastawienie. Do radzionkowskiego środowiska nauczycieli należał wtedy Edmund Duda, po wojnie naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

Do tego właśnie urzędu w maju 1946 r. wpłynęło pismo nauczyciela z Sierakowa, który w okresie przedwojennym pracował w Radzionkowie. Ksiądz Kopyto został przez niego nazwany Szwabem i germanizatorem polskiej młodzieży. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. 26 lipca 1946 r. ks. Kopyto został zmuszony do opuszczenia parafii i wysiedlony do obozu przejściowego w Głubczycach.

W obronie wysiedlonego kapłana stanęła kuria diecezjalna. 29 lipca 1946 r. biskup Juliusz Bieniek w piśmie skierowanym do wojewody Aleksandra Zawadzkiego przypomniał, że ks. Roman Kopyto miał III grupę volkslisty. W opinii Niemców był Polakiem i polskim księdzem, w czasie okupacji groziło mu wysiedlenie. Biskup zwracał się z prośbą o cofnięcie zarządzenia o jego wysiedleniu.

Ksiądz Kopyto nadal przebywał w Głubczycach. To stamtąd wysłał dramatyczny telegram do wojewódzkiego komisarza do spraw repatriacji we Wrocławiu. Jego odpis został tego samego dnia przesyłany do wojewody śląskiego. Ministerstwo Ziemi Odzyskanych upomniasto wojewodę, by repatriować jedynie ludność niemiecką, gdyż w przeciwnym razie osoba, która deklarowała na granicy, że jest Polakiem, nie była przepuszczana na drugą stronę i musiała być odesłana z powrotem do miejsca zamieszkania.

3 sierpnia ks. Kopyto został więc zwolniony z obozu. Nie oznaczono to jednak końca ingerencji władz w jego kapłańską posługę. Zakazano mu powrotu do Pawłowic, a do czasu zrehabilitowania się mógł sprawować tylko niesamodzielne stanowisko kapłańskie. Były to jawnie bezzasadne żądania, ponieważ ks. Kopyto został wpisany do III grupy niemieckiej listy narodowej i zgodnie z obowiązującymi wtedy zarządzeniami nie dotyczyła go rehabilitacja.

Ksiądz Roman Kopyto pozostał w Polsce, jednak kilku innych duchownych z diecezji katowickiej zostało wysiedlonych do Niemiec.

8 stycznia 1947 r. biskup Stanisław Adamski w *Memoriale w sprawie wysiedlenia* podjął się ich obrony, a także analizy przyczyn i sposobu postępowania niektórych urzędników decydujących o wysiedleniach. Był on przekonany, że za wysiedlenie ks. Kopyty odpowiada ówczesny naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego – Edmund Duda.

21 listopada 1947 r. ks. Roman Kopyto został skierowany do parafii w Połomi, gdzie pracował do śmierci w 1965 r.



„CZY TO JUŻ POLSKA?”

Zeznania przytoczone poniżej przedstawiają dramatyczne przeżycia młodego mieszkańca Augustowa, który z Syberii wrócił dopiero po 22 latach tułaczki.

Z perspektywy pięćdziesięciu lat staram się zrozumieć, co dało mi siły do wyjścia cało z katastrofy zderzenia idealnego świata moich 18 lat ze światem bezprawia, przemocy, zakłamania i nienawiści do człowieka. To nie tylko to, że rosnąc w zagrodzie rolnika, nauczyłem się rzetelnie pracować, stałem się silny, sprawny fizycznie i zdrowy, ale również owo codzienne, cierpliwe i żmudne wpajanie we mnie w rodzinie, szkole i harcerstwie ludzkich zasad współżycia i umiejętności oceny własnego postępowania. Z wieczornego pacierza, z upomnień ojca i matki uczyłem się wartości prawdy i szacunku dla człowieka. [...] Z radością więc i dumą zdobywałem harcerskie sprawności i marzyła mi się praca na lotniczym poligonie, gdzie miałem się znaleźć 1 września 1939 r. Tego ostatniego szczęśliwego lata, jako członek Drugiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego, pod kierunkiem komendanta Mieczysława Lewickiego, drużynowych Władysława Alajstra i Franciszka Lipińskiego, przechodziłem kurs przysposobienia wojskowego i specjalnego szkolenia antydywersyjnego, które prowadził instruktor Pierwszego Pułku Ułanów Krechowickich, pan Jan Gąsiewski. [...] Nikt z nas jednak nie myślał podczas pamiętnych dni spędzanych na harcerskich obozach, że staniemy wkrótce w obliczu konieczności sprawdzenia naszych sprawności, że słowo „wojna” stanie się tragiczną rzeczywistością. Już we wrześniu cała nasza grupa pełniła służbę przy mostach, szosach, telefonach. A potem ruszyliśmy z oddziałami wojska pod Puńsk, po czym, na niewiarygodną wiadomość o najeździe ze Wschodu – w kierunku Grodna. [...] W poczuciu bezsilności, kryjąc się i klucząc, 22 września znaleźliśmy się nad Bystrym Kanalkiem, opodal Augustowa. Tu nasz oddział został rozwiązany, zakopaliśmy broń i każdy ruszył w swoją stronę. Nieświadomi metod najeźdźcy, paradowaliśmy po mieście w mundurach. Dopiero na wieść, że sowieccy czołgiści zabijają po drodze bezbronną polską żołnierzy i ludzi pracujących w polu, schowaliśmy wojskowe uniformy. Zaczęła się konspiracja. Przekazywaliśmy wiadomości, śledziliśmy donosicieli, penetrowali granice. W październiku otrzymałem zadanie – przeprowadzić z Białegostoku do Suwałk oficera z żoną. [...] Po przyjeździe z moimi podopiecznymi do Augustowa i wyszukaniu łódki, nocą, kryjąc się w szuwarach, gdyż po tafli jezior Necka i Rospudy coraz to ślizgały się światła reflektorów, dopłynęliśmy do Szczebry i nad ranem byliśmy już za niemiecko-radziecką granicą. Młoda żona oficera była w ciąży i poczuła się słabo. Zapukaliśmy więc do najbliższej chałupy – i tak zaczęła się moja „droga przez mękę”. – *Hände hoch!* – krzyknął niemiecki żandarm. Wieczorem kobietę wypuszczono, porucznika gdzieś poprowadzono, a mnie zamknięto wraz z kilkoma innymi w areszcie. Już leżał śnieg, kiedy nas dwunastu Niemcy odstawili na granicę i kazali wracać do Augustowa. [...] Tymczasem śladem moich stóp na śniegu szedł sowiecki posterunek!

Przerzucano nas z aresztu do aresztu, badano pobieżnie, aż w lutym 1940 r. zamknięto w grodzieńskim więzieniu. Tu zaczęło się „porządne”, dziewięciomiesięczne śledztwo. Ja i moi dwaj kamraci [...], zapisani w rubryczce *niemieckij szpion*, wywoływani byliśmy zawsze w nocy, pytani stale o to samo. Osłabieni głodem i brakiem snu, ani razu nie zmieniliśmy swoich zeznań – nie wiedzieliśmy tylko, że inny nasz koleżka [...], mając odmrożone nogi



Zesłańcy polscy w Kazachstanie. Mamlutka, sowchoz Bielówka (ze zbiorów „Karty”)

i łudzony, że go wypuszczą na leczenie, załamał się i podpisał oświadczenie, że cała nasza grupa wysłana została przez Niemców w określonych celach! [...] Kiedy w październiku spędzono 200 więźniów do dużej sali, niektórych trzeba było trzymać pod ręce. „Hurtowy” wyrok, jaki nam odczytano, nie zrobił żadnego wrażenia. „Jako specjalno-wredny element jesteście skazani z artykułu 58 par. 6 na osiem lat łagru”. No i dobrze! Nareszcie coś się zmieni [...]. Na dworcu rzucono nas w śnieg, na kolana. Zsiniali z zimna czekaliśmy, aż do podstawionych wagonów załadowano jakiś transport kobiet i dzieci. Potem my – na gołe deski, otwór w podłodze do załatwiania się, chłód, dwa razy dziennie suchary i garść suszonej ryby. Ciągły krzyk – „Wody!” – jechał razem z nami. Nawet kiedy ktoś chciał ją podać na przystanku – odpędzano. [...] Po miesiącu i trzech dniach – *pieresielnyj punkt* pod Archangielskiem. Jakiś lekarz opukał nas *pro forma* młoteczką, mnie powiedział – „Jesteś zdrow jak młody byczek” – i wkrótce 700 osób załadowano na barki na Dźwinie. Po dwóch dniach, w zaduchu i ciasnocie kabin, myśleliśmy tylko o jednym – wyjść na brzeg, dotrzeć do baraków, wyciągnąć się na pryczy i zasnąć. Wkrótce holujące nas kutry zacumowały przy brzegu. Przed nami – pokryta śniegiem polana, dookoła piękny wysokopienny las... Wysiadamy. Stoimy podzieleni na grupy, otoczeni strażą. Pierwszy rozkaz komendanta: „Od jutra ze spożywanych przez was sosen zaczniecie budować baraki i prycze. A teraz część przygotowuje opał na ogniska, a część naściągga gałęzi, na których będziecie spali”. [...] Dwa tygodnie pokładaliśmy się dookoła ognisk na podściółce z sosnowych gałęzi, głodni i zziębnięci. Po miesiącu zakopywaliśmy pierwszych zmarłych, tych bez ciepłej odzieży, w letnich sandałkach na nogach. Po miesiącu dostarczono nam jednak waciaki, uszanki, rękawiczki, po roku –

walonki. A więc karczowanie lasu w coraz większym śniegu przy 30 stopniach mrozu w trzewikach! Radziliśmy sobie w różny sposób – pod podeszwy stóp owiniętych szmatami wsadzaliśmy kawałki grubej kory albo wycinanej ze starych opon gumy. Zanim mróz spadł do 40 stopni, mając marne siekiery i piły, sklecieliśmy jednak kilkanaście baraków bez okien i fundamentów, ale z pryzami i piecykiem z beczki po nafcie pośrodku. Zabezpieczyły one nas nie tyle od zimna, co od zamrznięcia. Od dnia, w którym nad bramą zony ukazała się nazwa łagru „Komandirówka Putiewaja”, zaczął się nasz normalny, katorżniczy żywot. Zadanie: wyrębać i wykarczować w lesie pas 200 m szerokości, usypać środkiem wał ziemi pod tor kolejowy, mający połączyć Kottłas z Murmańskiem. Praca w zimie od godz. 10 do 14, w lecie – od 7 do 18. Jedzenie dwa razy dziennie – 600 gramów chleba, 350 gramów kaszy i lura z brukwi, kapusty, czasem kartofle bez mięsa i tłuszczu, czasem wrzątek zarzucony igłami sosnowymi. [...] Na ogół każdy z więźniów myślał o sobie. Było to szczególnie widoczne, kiedy razem ze zdrowymi szli do pracy chorzy. A zdarzało się to co dzień, gdyż lekarz obozowy, Koreańczyk Kim, miał prawo zwolnić z pracy 30 osób na 300. Reszta chorych, w gorączce, plująca krwią, ślaniająca się na nogach, prowadzona nieraz pod rękę, kładła się na porębie na śniegu i dobrze było, jeśli jakaś litościwsza dusza rozpałała przy nich ognisko. Na ogół brakowało na to czasu. Jeśli ktoś nie wyrobił normy, dostawał pół porcji chleba, a kto się „zalenił”, był stawiany przez strażnika na pieńku, odbywał „stójkę” przy 40 stopniach mrozu, a już taki, co „zabumelował” 3 dni, dostawał dodatkowych 10 lat za sabotaż. Do roboty się nie szło tylko przy minus 45 stopniach. W baraku było zimno, głód. Ciągłe ubrani i w czapkach, nie myjący się od miesięcy, zaczęli ludziska puchnąć, płuc zębami, tracili siły w nogach, nekani krwawą biegunką, umierali w małym lazarecie bez lekarstw, w barakach, na porębie. W lecie było lżej, ale straszna zima 1940–1941 z mrozem do 60 stopni zebrała takie żniwo śmierci, że do następnego łagru dojechało z 700 osób tylko 70! [...]

Prócz zimna i głodu dręczyły nas jeszcze wszy. Zgarniało się je garściami, drapiąc ciało do krwi, a w lecie – nowa plaga – meszka. [...] Dostawała się do uszu, nosa i zalepiała oczodoły. [...] Na porębie rozpaliliśmy ogniska – dym pomagał, ale zaczęły się choroby oczu: zapalenie i kurza ślepota. [...] Fizyczna udręka i codzienna walka o życie zostawiała człowiekowi jedno tylko pragnienie – przetrwać. Wszystkie subtelniejsze uczucia znikaty. Ci, co nie potrafili w sobie zdusić tęsknoty za swoimi, za wolnością – ginęli pierwsi. Zrozumiałem to już w 1940 r. Jeszcze żywe w nas były wspomnienia rodzinnego domu. Mieliliśmy dopiero po 19–20 lat! Postanowiliśmy wraz z dwoma kolegami urządzić sobie Wigilię. Drewniany anioł stanął na czubku drzewka, migotały wycięte z blach gwiazdki, kotysały się przybrane w kolorowe szmatki szyszki, smolne łuczyczo zamiast świeczki. Przełamaliśmy się czarnym sucharem, zakąsili rozgrzaną kaszą i choć żal ścisnął serca i oczy zwilgotniały, zanuciliśmy *Bóg się rodzi...* Po chwili otaczający nas kręgiem kamraci, a byli wśród nich Tatarzy, Ukraińcy, Rosjanie, Chińczycy, Żydzi i Cyganie – podśpiewywali refren. Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi. Rozjuszony komendant z dwoma strażnikami rzucił się w naszą stronę z wrzaskiem: „*Wy polskije bladzi, paniczyki, swotocz!*”. W sekundę dookoła nas utworzyła się pustka, choineczka zakreśliła łuk, krzyżyk mignął pod sufitem i uderzenia posypały się na nasze głowy. Leżeliśmy już na podłodze zalani krwią, kiedy nas jeszcze bił i kopał. Kiedy klnąc wybiegł za drzwi, życzliwi ułożyli nas nieprzytomnych na pryzach. Około północy oprzytomniałem, w głowie mi się kręciło, po raz pierwszy zapragnąłem śmierci. Wybiegłem na mróz, padłem na śnieg, zacząłem zasypiać, ogarniał mnie coraz większy spokój. I nagle usłyszałem głos matki: „Pamiętaj, żebyś nigdy nie nałożył na siebie ręki!”. Chwiejnym krokiem wróciłem na pryzę, rozmyślałem do rana. Zrozumiałem, że jeśli mam



Grupa osadników wojskowych z Wołynia deportowanych w 1940 r. do obłastii wołogodzkiej. Zdjęcie wykonano po ich wyjściu z więzienia w 1941 r. (ze zbiorów „Karty”)

jeszcze zobaczyć swoich, muszę się pozbyć jakichkolwiek wzruszeń, wspomnień. Muszę nie dopuszczać do siebie myśli o hańbie, poniżeniu i niesprawiedliwości. I to prawie mi się udało. Nawet nie zapłakałem na widok listu z domu. Dotarł do mnie po dwóch latach. Był to jedyny list, jaki otrzymałem w niewoli. Nawet nie wiedziałem, że moi rodzice z braćmi [...] wywiezieni zostali ostatnim, tragicznym, bo jadącym pod niemieckim ostrzałem transportem (czerwiec 1941) na Sybir. Nie wiedziałem, że mój ojciec zmarł tam z głodu w 1944 r. Moi wrócili w 1946 r. do Polski, ale żaden z pisanych przeze mnie listów do nich nie doszedł.

Po tej niestychanej poniewierce, jaką przeżyliśmy w łagrze „Komandirówka Putiewaja”, przewieziono nas do osiedla „Tałagi”, 18 km od Archangielska. Na razie odczuliśmy to jako zmianę na lepsze. Zona odgrodzona wprawdzie wysokim płotem z przylegających do siebie pali uwiecznionych drutem kolczastym, ale w barakach na pryczach sienniki, koce, światło elektryczne, piece, drewniane podłogi, ubikacje w podwórzu, co tydzień kawał mydła w łaźni, szpitalik, odwszalnia, kuchnia, stołówka, a nawet świetlica i różne warsztaty. [...]

Zanim odbyłem swoje osiem lat, przeszedłem jeszcze przez trzy łagry. Każdy był urzędzony z pozorną troską o człowieka i każdy miał swoje odrębne, diabelskie oblicze. W każdym działo się coś haniebnego, zamieniającego życie w koszmar. Między tysiącami sterroryzowanych, niewinnych ludzi a reżimem toczyła się codzienna, uporczywa walka o przetrwanie. Tylko o przetrwanie. Bardzo rzadko się zdarzało, i to raczej u tych niedawno przybytych, że stawali w obronie godności i honoru. [...]

W łagrze „Tałagi” [...] pracowało się w różnych warsztatach, w kuchni, ale najczęściej wysyłano nas do portu rozładowywać amerykańskie okręty i wagony towarowe. Tu Rosjanie z wolności szepnęli czasem to i owo. Postyszeliśmy o Sikorskim, o wojsku polskim, o amnestii. Komendant łagru uznał to za niebezpieczną plotkę polityczną [...]. Pamiętam, jak nas podniosła na duchu wiadomość, że ksiądz z Wilna, skazany na 25 lat, uciekł. Po prostu

poszedł przed siebie w stronę bagien. Psy go wytropiły i po południu był już z powrotem. Ustawiono nas twarzami do siebie, a ksiądz w białym, szczuty psami, popychany kolbami, musiał biec środkiem tam i nazad, aż prawie nagi, zalany krwią, padł bez przytomności. Ale wkrótce przestały obchodzić mnie cudze sprawy. Ciężko zaniemogłem. A zawiniły pluskwy – te wyjątkowo żywotne i przemyślnie bestie. Nie pomagało ani okurzenie siarką, ani kilkogodzinne wietrzenie baraków przy czterdziestostopniowym mrozie. Nawet przy zapalonym świetle spadał na nas z sufitu czerwony grad. Dziesiątki ukłuć i ciało pokrywa się swędzącymi cętkami. Sen zamienia się w męczące drzemanie. Spragniony wypoczynku, złapałem któregoś zimowej nocy koc, pobiegłem do świetlicy i tam na podium zasnąłem. Rano gorączka 40 stopni, obustronne, ropne zapalenie płuc. Umieszczono mnie w baraku zwanym umieralnikiem. 12 dni siedziałem w nim oparty o ścianę, a każdy mój bolesny oddech zdawał się ostatni. Od bezruchu drętwiało całe ciało, co chwila traciłem przytomność, a w przerwach pragnąłem śmierci. Ale znalazł się człowiek, który mi współczuł. Był to lekarz, Żyd z Lidy. Zaczął mnie okładać plastrami płótna smarowanego musztardą – innych leków nie miał. Skóra była bliska odparzenia, ale po kilku dniach poczułem się lepiej i stopniowo zrodziło się we mnie jedno tylko pragnienie – Jeść! Zacząłem się już pokładać na swojej dolnej pryczy, a było ich wszystkich cztery. [...] Kładziono na nich więźniów, którym już nic pomóc nie mogło – spuchniętych, jęczących w malignie, pokrytych wrzodami, z biegunką. Póki słaniając się docierali do kibla, było pół biedy. Ale kiedy osłabli, leżeli we własnych ekskrementach, stopniowo cichli, umierali. Cela miała jednak pewne przywileje – chorym należała się dodatkowa porcja – 2 deka masła i tyleż cukru. Więźniowie obsługujący walili w drzwi, wykrzykując pytanie: „*Padoch kto nibud’?*”. Odpowiadałem „*Nie*” i zabierałem cztery porcje, które znikwały natychmiast w moim żołądku. Bardzo rzadko ktoś z umierających oponował. [...] Oni konali, a ja dochodziłem do siebie. A na moje pytania, czy grzeszę, Bóg nie odpowiadał... Po dwóch miesiącach wyszedłem z baraku – istne straszdyło na drżących nogach. [...]

W połowie 1945 r. przewieziono mnie do „*Koniecznaja*”. Łagier urządzone jak inne. Pracowałem tylko w stolarni. [...] Niektórzy komendanci pozwalali mi na kilkakrotne wysłanie podań do *Wojenkomatu* z prośbą o wcielenie do polskiej armii. Otrzymałem 10 jednokowych odpowiedzi: „*politicheskich nie bieriom*”.

Tymczasem nastał w „*Koniecznaja*” uroczysty dzień. Przed pójściem do pracy wyczytano z listy 40 nazwisk. Amnestia! Wychodzę na wolność! Ogłupiały ze szczęścia spakowałem tobołek, rano wyjeżdżamy! Kiedy już staliśmy w szyku przed bramą, komendant zarządził: „*Gen. Łabęcki, jeszcze dwóch oficerów i ja – zostajecie w łagrze do dyspozycji NKWD w Moskwie*”. Pociemniało mi w oczach, płakałem... W zimie 1946 r. przeżyłem jeszcze jeden osobisty dramat. Wezwano mnie do biura z żądaniem, żebym podpisał zgodę na przyjęcie sowieckiego obywatelstwa. Odmówiłem. Zamknięto mnie w karcerze [...]. Trzy doby bez jedzenia i spania. 30 stopni mrozu. Znowu odmówiłem – nowe trzy dni. Spróbowałem jeszcze raz. Na dziewiąty dzień, kiedy już nie miałem siły wstać, zrozumiałem – nie wytrzymam. Podpisałem. Za tę chwilę słabości zapłaciłem 12 latami „*wolności*” w kraju zapomnianym przez Boga. [...]

Nikt ze skazanych nie wiedział, kiedy go wypuszczą. I oto niespodzianie dnia 18 lutego 1948 r., kiedy więźniowie już wychodzili grupami do pracy, zjawił się naczelnik, wyczytał moje nazwisko i dodał: „*Atsidiel od dzwanka do dzwanka*” [...]. Nikt nie pomachał mi nawet ręką na pożegnanie. W biurze dano mi dokumenty, przepustkę, 500 rubli (kilo chleba – 250), paczkę zbożowej kawy, dwa kilo chleba, kilo suszonej ryby. Zebrałem w wążek moje nędzne łachy, sprawdziłem, czy mam list dany mi przezornie pół roku temu przez współwięźnia, Tatara Fiodora, do jego rodziny w Kazachstanie, i stanąłem oszołomiony za

bramą zony. Zacząłem iść, co raz przystawałem, chowałem się za drzewo i patrzyłem, czy nikt za mną nie biegnie z karabinem gotowym do strzału. Na stacji ktoś mi pomagał, ktoś klepał po plecach, wpełchnął do wagonu, posadził w kącie. Natychmiast zakryłem czapką twarz, a przy każdym sprawdzaniu dokumentów serce podchodziło mi do gardła. Upłynęło kilka dni, zanim zacząłem rozmawiać z sąsiadami, ale uwierzyłem, że jestem wolny, dopiero w Czymkencie, gdzie w małym domku mieszkała rodzina Fiodora. Przyjęli mnie jak swego. [...] Czułem się jak Hiob z Pisma Świętego, którego Pan Bóg przywrócił do łaski. Niestety, pobyt w Czymkencie okazał się na stałe niemożliwy, zesańcy nie mieli prawa mieszkać w miastach. Musieli się tam tylko zjawiać co pół roku na milicji dla zmiany paszportu. Wkrótce moja przybrana rodzina odprowadziła mnie do pobliskiego kołchozu, gdzie osiedleńcy, przeważnie Rosjanie, przyjęli mnie serdecznie, jak swego. Zacząłem wyrabiać dla kołchozu ule [...]. Pewnego dnia, po powrocie z miasta, zastałem mój warsztat opieczątowany. Urząd Skarbowy wezwał mnie do zapłacenia podatku. [...] Uciekłem do Karagandy. Tam wyczytałem ogłoszenie, że przyjmują do pracy przy budowie linii kolejowej [...]. Pojechałem. Część zatrudnionych nie wytrzymała ustalonego reżimu, który mało różnił się od kategorii. Ludziska uciekali, ginąc z wycieńczenia i głodu w niezamieszkanym obszarach ziemi niczyjej. [...] Ale i ja miałem dość. Kiedy kierownik podsunął mi do podpisania sprawozdanie, w którym figurowało 12 nieistniejących mostów, wymówiłem pracę. [...] Coraz mocniej tęskniłem do powrotu. Coraz więcej ciążyło mi nędzne, monotonne życie, urozmaicane upijaniem się do nieprzytomności w państwowo święta. Co raz to wysyłałem listy do domu – ciągle bez odpowiedzi. Nie wiedziałem, że moi szukają mnie od lat.

I oto stał się cud! Stemplując swój dowód osobisty w biurze milicji, zobaczyłem na stole pod szkłem pismo z nazwiskiem. Przecież to mój brat! Pytam, co to za sprawa. I słyszę: „To już rok leży. Ktoś szuka brata”. „Ależ to mnie szuka!” – wykrzyknąłem. „A któż to może wiedzieć, że ciebie? Idź sobie! Albo jak chcesz, to weź ten adres”. Tak zaczęły się starania o wyjazd. [...] Niestety, z Moskwy nadchodziła stale ta sama odpowiedź: - „W Polszu nie-lizia”. Rozgoryczony, wykrzyknąłem raz w biurze przepustek: „Jeżeli tak, przejdę granicę nielegalnie!”. Wezwano mnie po tygodniu. Pani kapitan oświadczyła: „Ty nie pojedziesz, ale wysłałam zaproszenie do twojej matki i siostry”. Zaniemówiłem. Po kilku miesiącach stałem oparty o ścianę, na peronie dworca we Frunze. Czułem słabość w nogach. Zazgrzytały hamulce wagonów, ludzie zaczęli wysiadać, a ja nie miałem siły ruszyć z miejsca. I nagle zobaczyłem je przez kłęby pary. Rozglądały się bezradnie. Przyjrzały mi się obojętnie i szukały wzrokiem dalej. Wyciągnąłem ręce. Szły ku mnie z wahaniem – czy ten czterdziestoletni mężczyzna to ich kochany, osiemnastoletni Janek? Nie wiem, jak długo staliśmy objęci, nie mogąc się do siebie odezwać. Kiedy wreszcie obróciłem głowę, zobaczyłem otaczający nas tłum. Wszyscy płakali. „Mać naszła syna...” – postyszałem szept. [...] Po miesiącu wyjechały. Przez kolejnych 11 miesięcy byłem co tydzień w biurze przepustek. Aż wreszcie pod koniec 1961 r. wywołano mnie z kolejki po przepustkę do Polski. Zatoczyłem się na ścianę. Otrzymałem „Wid na zitielstwo w Polsze” z ważnością na trzy miesiące. Za byle co sprzedałem trochę mebli i ubrań i pojechałem po wizę do Moskwy. Tu strach. Może nie dadzą, może znów aresztują? Już mnie Polacy w kolejce ostrzegali: „Uważaj, co mówisz. Niektórzy znikali z ulicy już z wizą w ręku, bo powiedzieli, że wolą Polskę”. Jakoś mi się udało. Już siedzę w przedziale wagonu Moskwa–Brześć–Warszawa–Wrocław. Znow się boję, znowu zakrywam twarz, udaję, że śpię. Serce bije niespokojnie i drżą ręce, kiedy pokazuję dokumenty, a po sprawdzeniu mojego węzłka przez celników w Brześciu pociemniało mi w oczach i ocknąłem się, dopiero słysząc polską mowę na peronie. „Czy to już Polska?”

Oprac. Tomasz Danilecki

POLSKI „KUŁAK” W KAZACHSTANIE

Pierwszą grupę Polaków w Kazachstanie stanowili mieszkańcy radzieckiej Ukrainy deportowani w latach trzydziestych oraz ich potomkowie. Kolejną byli obywatele polscy wywiezieni do Kazachstanu w latach 1940–1941 ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej zajętych przez ZSRR w 1939 r. Nie dysponujemy wiarygodnymi danymi statystycznymi dotyczącymi liczby Polaków wywiezionych w ramach „rozkułaczania” na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych i przybyłych po 1953 r., głównie z Białorusi i Ukrainy, po ogłoszeniu akcji zagospodarowywania ugorów. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR z 1949 r. w Kazachstanie zarejestrowano 28 130 Polaków, tak zwanych specjalnych osiedleńców. Rok później było ich tam już 33 726, a według pierwszego powojennego spisu powszechnego w ZSRR z 1959 r. – 59 956.

Przebieg „rozkułaczania”

Zenon Zajączkowski w kwietniu 1952 r. (miał wtedy 12 lat) został na mocy nakazu administracyjnego wysiedlony do Kazachstanu z miejscowości Tryszoki (dawna gmina Lipniski, powiat lidzki), gdzie mieszkał wraz z rodziną. Przyczyną deportacji był fakt posiadania kilkunastohektarowego gospodarstwa. Według jego relacji Rosjanie przygotowali listy kułaków – gospodarzy posiadających około 10 ha ziemi. Wysiedlenia z ziemi nowogródzkiej rozpoczęły się, jak wspomina, wcześniej, już w latach 1948–1950. W styczniu 1951 r. aresztowano jego mamę, ale wypuszczono ją przed wigilią Bożego Narodzenia na mocy amnestii dla matek mających małe dzieci. Kilka miesięcy później funkcjonariusze NKWD nakazali rodzinie Zajączkowskich w ciągu 30 minut spakować cały dobytek. Przewieziono ich do stacji Bohdanów, gdzie po kilku dniach sformowano eszelony wojskowe przeznaczone do wywiezienia kułaków.

Warunki transportu do Kazachstanu były nieludzkie. W wagonie było bardzo ciasno. Część zesańców spała na narach (pryczach), reszta na podłodze. W czasie dłuższych postojów rozdawano zimną wodę oraz *kipiatok* (wrzątek). Pożywienie stanowiły kawa zbożowa, czarny chleb i kasza z olejem. Nie było żadnej opieki lekarskiej. Po kilku dniach podróży, na początku maja 1952 r. transport przybył do Czymkienstu w południowym Kazachstanie.

Codziennosc wygnania

Zajączkowsky należeli do kategorii „specjalnych przesiedleńców” – ludzi zmuszanych do pracy, pozbawionych swobody poruszania się, najczęściej osadzonych na terenach niezamieszkałych i niezagospodarowanych, gdzie tworzone kołchozy. Jak wspomina Zenon Zajączkowski, droga z Czymkienstu do kołchozu, w którym pracował, wiodła przez ciemny od kurzu step. Miejscowość, do której zostali przewiezieni, leżała w dorzeczu Syr-darii i Kieles. Początkowo umieszczono ich w oborze u kołchoźnika. Po pewnym czasie miejscowy Kazach zaproponował przeprowadzkę do suszarni bawełny, gdzie mieszkali razem z trzema



Wielbłądy na kazachstańskim stepie

innymi rodzinami. Pracownicy kotchozu stanowili istną mieszankę narodowościową – reprezentowali prawie dwadzieścia różnych nacji. W jednej z kotchozowych wsi mieszkali wyłącznie Koreańczycy.

Poruszanie się po okolicy było ograniczone. Dorośli mieli prawo przemieszczać się w promieniu dziesięciu kilometrów. Zestańców nie trzeba było specjalnie pilnować, gdyż w stepie nie było dokąd uciec. Raz w miesiącu podpisywano listę obecności. Dzieci mogły chodzić do szkoły.

Deportowani kułacy zbierali bawełnę, kukurydzę i wrywali chwasty. Przy tych pracach obowiązywała dzienna norma. Zbieranie kukurydzy w temperaturze około 40°C było bardzo uciążliwe, zwłaszcza że dopiero w 1954 r. pojawiły się maszyny do zbioru kukurydzy. Zimą, która była krótka i łagodna, czyszczono kanały. Do ogrzewania kotchożnicy używali tak zwanych wielbłądzych kolców (byliny stepowej zbieranej po pierwszym przymrozku), kolb kukurydzy i kiziaku – krowich odchodów zmieszanych z trawą.

Najtrudniejsze były pierwsze dwa lata, lecz zestańcy nie spotykali się z szykanami ze strony Kazachów, również w sprawach religijnych. Rdzenna ludność była bardzo gościnna,

odmowę skorzystania z posiłku traktowała jako obrazę. Jednakże nie tolerowała złodziejstwa i „kombinatorstwa”.

Dla osiedlonych w Kazachstanie Polaków istotną cezurą była śmierć Józefa Stalina w 1953 r. Zlikwidowano wówczas stan „rygoru komendanckiego” (nadzoru służb bezpieczeństwa). 5 lipca 1954 r. Rada Ministrów ZSRR przyjęła postanowienie *O zniesieniu niektórych ograniczeń prawnych w stosunku do specjalnych przesiedleńców*. Osobom pozostającym w rejestrach specjalnych przesiedleńców, zajmującym się pracą społecznie użyteczną, przyznano prawo wyboru miejsca zamieszkania w republice (kraju, obwodzie), do której zostały wysiedlone, i prawo swobodnego przemieszczania się po całym obszarze ZSRR na podstawie delegacji służbowych. Musiały jednak potwierdzić fakt zmiany miejsca zamieszkania w lokalnym organie prowadzącym rejestr zesłańców oraz w nowym miejscu pobytu. Zaprzestano też wówczas stosowania kary aresztu w trybie administracyjnym za naruszanie regulaminów miejsc osiedlenia. Polakom przywrócono dowody osobiste i przyznano prawa obywateli ZSRR. Młodzież od szesnastego roku życia miała paszporty, do których obok obywatelstwa radzieckiego wpisywano narodowość polską. W szkole nie było żadnych szykan. W 1954 r. Zenon Zajączkowski, korzystając ze złagodzenia systemu represji, uciekł z kłochozu do zakładu przerobu sitowia w Syrdarinnym Rejonie (południowy Kazachstan, blisko granicy z Uzbekistanem), gdzie warunki życia i praca były łżejsze. Dochodziły tam do niego pieniądze od rodziny, wysyłane z Białorusi i Ukrainy, które przeznaczał przede wszystkim na wyżywienie. W nowym *uczastku* (osiedlu) było dużo owoców, a poza tym można było hodować własną owcę, kozę lub świnie.

Powrót do Polski

W 1956 r. zesłańcy mogli wrócić do Polski pod warunkiem posiadania polskich dokumentów. „Specjalnym osiedleńcom” nie wolno było wracać w rodzinne strony (dawne Kresy Wschodnie). Alternatywą było dla nich stałe osiedlenie w Kazachstanie, pisano więc do rodziny, aby przysłała jakieś dokumenty i pisma w języku polskim. Według relacji Zajączkowskiego Rosjanie sprawdzali owe papiery Polaków bardzo pobieżnie. Dzięki temu niektórym udało się wrócić do kraju, mimo że uchwała rządu ZSRR z 1955 r. objęła tylko tych Polaków, którzy w chwili aresztowania mieszkali na zachód od Bugu.

Zenon Zajączkowski wraz ze swoimi bliskimi dotarł najpierw do Trzimiz (południowy Kazachstan), a następnie do Taszkientu (Uzbekistan). Stamtąd transportem kolejowym przyjechał do punktu parcelacyjnego w Białej Podlaskiej-Grabanowie, gdzie repatrianci otrzymywali zapomogi pieniężne i karty ewidencyjne, będące podstawą do zameldowania się w kraju. Większość z nich kierowała się do województwa olsztyńskiego, zielonogórskiego oraz na Pomorze Zachodnie. Niezdecydowanym przydzielano miejsce zamieszkania. Nie wszystkim udało się wrócić do kraju. W ZSRR po zakończeniu repatriacji w 1959 r. pozostało jeszcze około 1,4 mln Polaków.

Tekst powstał na podstawie rozmowy przeprowadzonej 7 lutego 2002 r. z panem Zenonem Zajączkowskim, członkiem Związku Sybiraków w Poznaniu.

„STRACENI NA DOLNYM ŚLĄSKU W LATACH 1945–1956”

Wystawa Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej we Wrocławiu

W powojennej Polsce prawo stało się jednym z wielu środków represji w toczącej się walce politycznej, a nowa władza, głównie przez ustawodawstwo specjalne, zaostriżyła politykę karną w stosunku do rzeczywistych i domniemych form opozycji. Komuniści, zachowując pozory ciągłości władzy sądowniczej, stworzyli alternatywny system wymiaru sprawiedliwości – rozbudowaną sieć sądownictwa wojskowego, wyposażonego w wiele niezwykle restrykcyjnych aktów prawnych, nie przystających do państwa okresu pokoju. Przez ponad dziesięć lat od zakończenia wojny osoby cywilne były skazywane przez sądy wojskowe. Ich jurysdykcji poddano ludzi oskarżonych o działalność skierowaną przeciw nowemu systemowi politycznemu.

Wykorzystywanie organów prokuratorsko-sądowniczych do rozprawy z przeciwnikiem politycznym, bez zachowania nawet pozorów praworządności, było możliwe z dwóch powodów: stworzono zbrodnicze, restrykcyjne prawo, a w kraju istniała zdyscyplinowana i posłuszna polityce partii kadra prawnicza. Bardzo szybko pojawiło się zjawisko, które prof. Andrzej Rzepliński trafnie opisał jako „przystosowanie ustroju sądownictwa do potrzeb państwa totalitarnego”. Instrumentalnemu traktowaniu prawa jako nader skutecznego środka przymusu towarzyszyła kampania nagonki na przedwojennych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości w Polsce, mimo że w dużej mierze tej właśnie grupie zawodowej komuniści zawdzięczali skuteczną i szybką rozprawę ze zorganizowaną opozycją w kraju. Ilustracją niech będą cytaty z akt sądowych:

„[...] Ostatnia wojna światowa rozpętana przez krwiożerczy faszyzm hitlerowski, popierana przez państwa imperialistyczne bloku anglosaskiego, zakończyła się wspaniałym i zdecydowanym zwycięstwem Związku Radzieckiego, a z drugiej strony sromotną klęską faszyzmu. Wojna ta między obydwojma blokami, tzn. między obozem pokoju i postępu a obozem wstecznictwa i wyzysku, nie ustała jeszcze. Wojnę tę prowadzą i wciąż podsycają, zmieniając tylko jej formy, przedstawiciele zbankrutowanego faszyzmu i światowej finansjery państw kapitalistycznych. W tej walce nie przebijają oni ani w środkach dojścia do celu, ani w taktyce, ani ludziach. Ich zadaniem jest w różny sposób dezorganizować i utrudniać życie gospodarcze Polski, ich zadaniem jest prowadzić sabotaż, dywersję oraz szerzyć fałszywą propagandę. Do zrealizowania swoich zamiarów autorzy zimnej wojny wybrali podobne do siebie typy. Zdegenerowane moralnie jednostki, zdecydowani wrogowie socjalizmu, międzynarodowi złodzieje, kasiarze i waluciarze – oto godni sojusznicy, przyjaciele i pachotki przedstawicieli obozu imperialistycznego [...]”¹.

„[...] W okresie, kiedy masy pracujące Polski przystąpiły do budowy fundamentów socjalizmu, do budowy twórczego życia człowieka w ramach planu sześcioletniego, reakcyjne grupy podziemne kierowane przez agentów imperializmu amerykańskiego, rekrutujące się z elementów b. AK i innych organizacji profaszystowskich [sic!], kierując się nienawiścią do ustroju Polski Ludowej, usiłują przeszkodzić Narodowi Polskiemu w zdobywaniu osiągnięć na polu gospodarczym i kulturalnym przez stosowanie akcji terrorystyczno-sabotażowych [...]”².

Często tego typu zwroty użyte przez prokuratora w akcie oskarżenia znajdowały się potem w całości w treści uzasadnień wyroków.



por. Andrzej Boroń, lat 23,
stracony 21 września 1949 r.



Bronisław Kozak, lat 24,
stracony 12 stycznia 1952 r.



Helena Motykówna, lat 22,
stracona 18 lipca 1946 r.



Władysław Czarnecki, lat 28, stracony 14 lipca 1949 r.



Cmentarz Osobowicki we Wrocławiu, „kwatery więzienne”

Dziś trudno uwierzyć, że można było orzekać wyrok sądowy poparty takimi argumentami ideologicznymi, że skazywano kogoś na karę śmierci za czyny, których nie popełnił, lub ogłaszano wyrok po kilkanastu dniach od daty aresztowania. W sytuacji powszechnego terroru lat czterdziestych i pięćdziesiątych tego typu praktyki nie należały do rzadkości; za czyny nie popełnione skazano na karę śmierci i następnie stracono we Wrocławiu między innymi Bronisława Kozaka, Henryka Szwejcera, Władysława Czarneckiego, Romana Szumskiego, Mieczysława Bujaka. 2 listopada 1946 r. WSR we Wrocławiu orzekł wyrok śmierci wobec Niemca Hermana Lichei, zatrzymanego zaledwie siedemnaście dni wcześniej. Jeszcze mniej czasu potrzebowali sędziowie wojskowi na skazanie na karę śmierci por. Andrzeja Boronia. W jego przypadku wyrok zapadł już po dwunastu dniach!

Gdy pod koniec lat osiemdziesiątych głośna stała się sprawa odkrycia na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu „kwater więziennych”, na których grzebano zmarłych i straconych w więzieniach wrocławskich, wydawało się, że wkrótce podjęte zostaną szeroko zakrojone badania dające odpowiedź na podstawowe pytania: o liczbę osób straconych i zmarłych w innych więzieniach i aresztach dolnośląskich, o okoliczności potajemnych pochówków, pod osłoną nocy, o nazwiska osób zgładzonych z przyczyn politycznych, wreszcie o liczbę straconych na podstawie wyroków sądowych.

Najtrudniejsza okazała się odpowiedź na ostatnie z postawionych pytań. W 1989 r. wojewoda wrocławski powołał komisję do zbadania pochówków z więzień we Wrocławiu. Nie podjęła ona próby wyjaśnienia okoliczności wykonywania egzekucji w całym regionie, ograniczając się jedynie do stolicy Dolnego Śląska. Określiła liczbę straconych na 182 osoby³. Z kolei Krzysztof Szwagrzyk dowodzi: „na podstawie analizy dokumentów, głównie sądowych, prokuratorskich, cmentarnych, a także nielicznych relacji, można stwierdzić, że liczba straconych na Dolnym Śląsku w latach 1944–1956 wynosiła 209 osób. Wśród straconych znaleźli się przedstawiciele narodowości polskiej, niemieckiej, ukraińskiej, żydowskiej, białoruskiej i rosyjskiej”⁴.

Mimo że w ostatnich latach pojawiają się możliwości korzystania z niedostępnych dotąd źródeł archiwalnych, nadal istnieją zagadnienia prawie nieznanne. Wśród nich są kwestie dotyczące osób straconych na Dolnym Śląsku w latach 1944–1956 na podstawie wyroków sądowych.

Zorganizowana przez wrocławski OBEP wystawa oraz prowadzone prace naukowe i edukacyjne mają na celu wypełnienie tej luki. Centralne miejsce wystawy zajmuje kilkadziesiąt brzoźowych krzyży, na których są umieszczone zdjęcia skazanych z przyczyn politycznych i zmarłych w więzieniach dolnośląskich oraz informacje o datach i okolicznościach represji. Prezentujemy także wiele dokumentów związanych z miejscami represji i szeroko rozumianym aparatem represji stalinowskiego systemu politycznego.

Całość eksponowana jest we wnętrzach Muzeum Miejskiego Wrocławia (dawne Muzeum Militariów).

Wystawa czynna jest do końca marca.

¹ Oddziałowe Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN we Wrocławiu (dalej: OBUiAD Wr.), Sr. 538/50, akta sprawy Jakuba Frydlanda i in.

² OBUiAD Wr. Sr. 387/52, akta sprawy Jana Puragała i in.

³ OBUiAD Wr., bez sygn., Sprawozdanie Komisji powołanej przez Wojewodę Wrocławskiego do wyjaśnienia okoliczności pochówku więźniów na polach 81a i 120 na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu.

⁴ K. Szwagrzyk, *Straceni na Dolnym Śląsku w latach 1945–1956*, mps.

■ „Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950–1952: taktyka, strategia, metody”

Tom obejmuje:

● protokoły z narad kierownictwa resortu bezpieczeństwa publicznego ● przemówienia i referaty ministra BP Stanisława Radkiewicza ● rozkaz ministra BP w sprawie „walki z wywiadem państw imperialistycznych” ● pisma kierownictwa resortu dotyczące spraw i zadań bieżących MBP ● analizy i opracowania obrazujące sposoby zwalczania przez aparat bezpieczeństwa niepodległościowego podziemia zbrojnego, a także „wrogiej działalności” na wsi, w przemyśle, w szkolnictwie oraz działających oficjalnie organizacjach społeczno-politycznych. (cena: 20,00 zł)

■ „Grudzień 1970 w dokumentach MSW”

Na zbiór składają się:

● codzienne informacje o sytuacji w kraju, przeznaczone dla członków najwyższego kierownictwa partyjno-państwowego ● notatki z posiedzeń Sztabu MSW w grudniu 1970 roku (niekompletne) i zapisy telekonferencji z komendantami wojewódzkimi Milicji Obywatelskiej, organizowanych w grudniu 1970 r. przez komendanta głównego MO gen. Tadeusza Pietrzaka. (cena: 20,00 zł)

■ „Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce w latach 1944–1956”

Książka jest rezultatem czterech konferencji naukowych poświęconych różnym aspektom funkcjonowania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości w Polsce w latach 1944–1956. Obok opracowań ogólnych dotyczących zarówno polityki karnej państwa, jak i porządku prawnego zamieszczono w niej teksty omawiające konkretne przykłady przestępstw sądowych. Na szczególną uwagę zasługują artykuły o represjach wobec zbrojnego podziemia, duchowieństwa katolickiego oraz chłopów przeciwstawiających się kolektywizacji rolnictwa.

■ „Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych”

Zawiera 57 krytycznie opracowanych, dotychczas niepublikowanych (z wyjątkiem jednego) dokumentów, które ukazują ówczesne wydarzenia w nowym świetle. Na zbiór – oprócz materiałów wytworzonych przez strukturę MSW – składają się m.in.: ● protokoły i informacje z posiedzeń KW PZPR w Radomiu ● dyrektywy i informacje KC PZPR ● sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. (cena: 20,00 zł)

■ „Rozpracowanie i likwidacja rzeszowskiego Wydziału WiN w dokumentach UB (1945–1949)”

To pierwszy krytycznie opracowany wybór dokumentów operacyjnych komunistycznych służb bezpieczeństwa. Tom zawiera: ● 96 dokumentów z teczek obiektowych ● raporty specjalne ● sprawozdania dekadowe, miesięczne i roczne z pracy operacyjnej funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie i Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego w województwie rzeszowskim. (cena: 20,00 zł)

■ „Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja”

Friedrich (Fritz) Katzmann zapisał jedną z najczarniejszych kart okupacji niemieckiej w Polsce. Był współorganizatorem tak zwanej akcji Reinhard (Einsatz Reinhard). Cel akcji – eksterminacja polskich Żydów – został osiągnięty. W latach 1942–1943 w Generalnej Guberni zginęła większość z niemal 3 mln zamordowanych podczas niemieckiej okupacji polskich Żydów. (cena: 45,00 zł)

■ „Dziennik podręczny 1939–1945”

Dziennik podręczny archiwisty Adama Kamińskiego stanowi interesujący zapis życia w Krakowie pod okupacją niemiecką. Z kart jego dziennika wylania się poruszający obraz codziennej walki o przetrwanie: zdobywania żywności, mieszkania oraz pracy. Równocześnie jest to znakomite źródło informacji o ówczesnej obyczajowości: życiu rodzinnym, sposobach spędzania czasu wolnego oraz świętowania. Wiele miejsca Kamiński poświęca swej pracy w archiwum oraz walce o ratowanie dokumentów zagrożonych zniszczeniem. Jego dziennik oddaje także grozę okupacji, dokumentuje wojenną eksterminację, wywózki mieszkańców Krakowa do Oświęcimia, likwidację getta krakowskiego, wreszcie pobyt autora w obozie w Płaszowie. Swe zapiski Kamiński uzupełnia wiadomościami z prasy codziennej o aktualnych wydarzeniach wojennych. (cena: 30,00 zł)

■ „Świadczenia stanu wojennego”

Świadczenia stanu wojennego to 28 relacji wybranych tak, by pokazywały różne formy działalności opozycyjnej i wszystkie regiony Polski. Dostarczają one wielu informacji na temat oporu społecznego, pozwalają poznać motywacje konkretnych osób. Mogą być ciekawą lekturą nie tylko dla historyków, lecz także dla socjologów i psychologów społecznych. Pozwalają skonfrontować własne doświadczenia z przeżyciami innych. (cena: 25,00 zł)

■ „Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983”

„Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983 r.” zawiera 54 publikowane po raz pierwszy dokumenty ukazujące genezę, przebieg oraz skutki stanu wojennego. Ilustrują one najważniejsze przedsięwzięcia podejmowane przez władze PRL przed i po 13 grudnia 1981 r. Pochodzą z zasobów IPN i piętnastu innych archiwów (m.in. Archiwum Akt Nowych, Archiwum Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, Archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości) oraz zbiorów prywatnych. (cena: 35,00 zł)

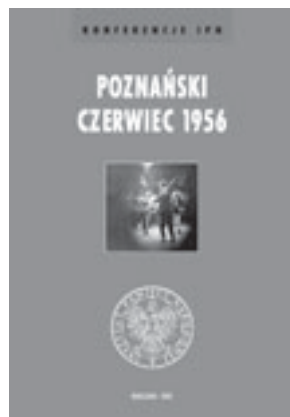
K S I A Ź K I I P N

W serii „Konferencje IPN” publikowane są materiały będące plonem spotkań naukowych organizowanych przez Instytut Pamięci Narodowej. Przedstawiają wymierzoną przeciwko obywatelom polskim działalność okupantów w okresie drugiej wojny światowej oraz władz komunistycznych Polski Ludowej, opisują różne formy oporu społecznego.

Pierwszy tom serii poświęcony jest losom pokolenia konspiratorów na Lubelszczyźnie. Autorzy tekstów analizują metody działania i szanse podziemia zbrojnego lat 1939–1956 oraz sposobów jego zwalczania. Stawiają tezę, że konspiracja antykomunistyczna była kontynuacją konspiracji antyhitlerowskiej. Celem jednej i drugiej była niepodległa i demokratyczna Polska.

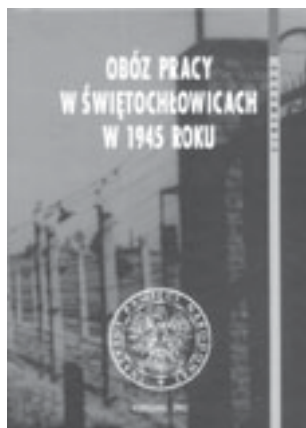


Kolejny tom serii „Konferencje IPN” jest poświęcony poznańskiemu Czerwcowi 1956. Autorzy tekstów analizują pomijane dotychczas wątki, jak sytuacja w więzieniach, reakcje społeczeństwa polskiego na wydarzenia w Poznaniu oraz komentarze prasy krajowej i zagranicznej. Ich ustalenia potwierdzają tezę, że poznański Czerwiec był początkiem walki o demokratyzację życia w Polsce.



Z A P O W I E D Z I

Obóz Pracy w Świętochłowicach (luty-listopad 1945 r.), założony w barakach po filii obozu oświęcimskiego Eintrachthütte, przeznaczony był dla „zdrajców narodu polskiego”, „zbrodniarzy faszystowsko-hitlerowskich” i „wrogich elementów”. Stał się miejscem odosobnienia przede wszystkim dla Ślązaków, których „winą” było wpisanie podczas okupacji na niemiecką listę narodowościową. Tom jest pierwszym wyborem dokumentów ukazujących funkcjonowanie obozów pracy w powojennej Polsce.



W serii „Monografie” publikowane są książki poświęcone najnowszej historii Polski, opisujące losy obywateli polskich w latach 1939-1989.

Pierwszy tom serii prezentuje politykę władz Polski Ludowej wobec Ukraińców - od akcji „Wisła” (1947) po utworzenie Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (1957). Opisuje trudne adaptowanie się Ukraińców na terenach, na które zostali przesiedleni i ich uparte dążenie do powrotu.



Książki wydane przez Instytut Pamięci Narodowej można zamówić pisząc na adres Gospodarstwa Pomocniczego IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Do podanej ceny książek należy dodać koszty przesyłki pocztowej. Opłata za przesyłkę będzie pobierana od zamawiającego przy odbiorze.

K S I A Ź K I I P N

